

# TYGODNIK ILLUSTROWANY

PORTRET



LEOPOLD  
PILICHOWSKI

Z wystawy specjalnej  
w Salonie T. Z. S. P.



JAN BÉLICKOWSKI:

## Koniec modernizmu.

Człowiek „sztuki nowej” musiał zginąć. Człowiek sztuki nowej przeciwstawił się człowiekowi *czynu*, i śmierć jego stała się tylko kwestią czasu.

Człowiek czynu z wielkich rzeczy robił momentalnie małe i szedł, urągając w duszy farysowskiej swojej cierpieniu, szedł naprzód ze śmiechem, zmiatając góry, jak atomy; człowiek sztuki z małych rzeczy robił wielkie, przeogromne i stał w nieświadomości, w przerażeniu, w rozpacz. Stał—aż nadeszła nań wielka fala śmierci i pochłonęła go.

Nawet w osobie najpotężniejszych swoich przedstawicieli człowiek sztuki ciosom, nań spadającym, nie mógł przeciwstawić żadnej siły naturalnej powszechnej, krom swojej zmysłowej etyki, swojego zmysłowego bohaterstwa i gwałtownej energii swojej zmysłowej woli. W bezwiednym może, ale strasznym i ryzykownym rzuceniu rękawicy człowiekowi czynu cała tragedia człowieka sztuki, klucz do otwarcia tajemnicy jego śmierci.

Nic bowiem się nie oprze, nic nie powstrzyma olbrzymiego skrzydła człowieka czynu. To skrzydło zmiata już Nietzschego, Ibsena, Wagnera, a kto wie, może zmiecie i Szekspira i nie zatrzyma się, aż przed grobami Grecy—tego świata, który jeden miał poczucie czynu.

Jedność akcji, czasu i miejsca stanie się znów dla nas podstawą dramatu—czynu.

Nie Apollo, nie Dyonizyusz bogami naszymi będą, ale ta koncepcja czynu, która jedynie zabezpiecza rozkosze trwałego zwycięstwa. Wszyscy razem, o jednej godzinie w jednym zgromadzeni miejscu, odniesiemy dopiero zwycięstwo!

Tak mówiła Grecya, tak mówi człowiek czynu; nie rozumiał tego człowiek sztuki nowej i zginął.

Nastrojami i wrażeniami nie nakarmi się ducha człowieka.

Aktorstwo, pozory, dyletantyzm uczucia, zmysłowość rozpętana, poetyczność bez poezji, życie bez jutra i bez idei, to wszystko odpadnie precz, a wzamian nadejdą charakteru męskie, oparte na woli; nie na namiętności, ale na woli.

Zjawi się nowa krytyka, której sąd będzie kryzysem; tak za czasów aleksyn-dryjskich część integralną krytyki stanowił „*xpistos*”.

Zjawi się nowa sztuka, która co do idei będzie romantyczną, narodową, taktkę zaś przyswoi sobie klasyczną, w skład też jej wejdą i pierwiastki modernistyczne i pozytywistyczne; wejdą zmysły, i wejdzie wiedza, ale już jako słudzy, nie panowie.

Użyliśmy, mówiąc tu o sztuce, terminów przyjętych, one jednak nie wyświetlają całkowicie treści i charakteru twórczości naszej.

Otóż w twórczości tej należy rozróżnić dwa dążenia, odpowiadające dwu kierunkom polityczno-społecznego życia polskiego: kierunek, że tak powiemy, apostołski i kierunek królewski. Pierwszy dążył na Wschód, drugi—na Zachód; pierwszemu chodziło o zdobycie ciemnych mas pogan, ludu, drugi marzył o zdobyczach w Europie.

Ale prawdziwie mocne były dla nas rezultaty pierwszego właściwie kierunku.

Zdobycze drugiego, mówi Mickiewicz, aczkolwiek świetne, były często bezużyteczne dla Polski.

Ani na oświatę, ani na dobrobyt ludu wpływu nie wywarły; przeciwnie, lud je przeważnie przyjmował z niechęcią, niekiedy obojętnie i wrogo; zresztą pojąć ich najczęściej nie mógł.

Najjaskrawiej te dwa kierunki ujawniły się w twórczości Mickiewicza i Słowackiego.

Pierwszy szedł śladami apostołów, drugi—królów-zdobyczców.

Pierwszemu szło o lud, o zdobycie serc małych, drugiemu—o zdobycie Europy.

We współczesnym życiu literackim odczuwa się najwyraźniej zmaganie się tych dwóch—na słońcach swych przeciwnych—bogów.

Ale, pomimo żywiołowego entuzjazmu dla zwłok Słowackiego, myśli i nadzieje społeczne raczej w apostołskim, niż królewskim podążają kierunku.

Jak w polityce na Wschód zwracają się oczy narodu, podobnie w literaturze.

Przedstawiciele twórczości apostołskiej: Sienkiewicz, Prus, Reymont, stoją niewzruszeni, wciąż potężni; natomiast ci, którzy, że tak powiemy, królewskim podążyć chcieli

szlakiem, tracą coraz bardziej grunt pod nogami, korona już spadła im z głowy.

Widomych znaków tryumfowania nie reakcji, jak śpieszą wołać nieuleczalni partyjnicy, ale idei mickiewiczowskiej możnaby przytoczyć wiele. Narazie przypominamy o tem powodzeniu, z jakim się spotkał: „Monsalwat” Artura Górskiego.

Nie było rzeczy o Słowackim tak rozchwytanej, jak ta „rzecz o Mickiewiczu”.

Nie było, zresztą, takiej rzeczy o Słowackim. Na „Monsalwacie” skończył się nasz modernizm. Ta apoteoza poety czynu zamknęła cały okres naszej twórczości.

Jednym z podtytułów „Monsalwatu” może być śmiało „Koniec modernizmu”.

Koniec człowieka atramentowego, opar-tego na zmysłach, początek człowieka, zbudowanego na woli.

Koniec człowieka, w nieświadomym siły szukającego, początek człowieka, na szerokiej podstawie tradycji moc swą i potęgę wiary budującego.

Ten człowiek porzucił poezję dla słowa, a słowo dla czynu żywego i oddał się apostołstwu. Na miejsce życia bez jutra i bez idei rozwija on życie, w którym myśl jedna staje się środkową gwiazdą jego duszy, owładniającą firmament.

Będąc zmysłowym z natury, jest oparowany przez wolę, mimo nerwowej wrażliwości, nie cierpi aktorstwa.

Niema w nim łatwego rozmarzenia, niema żądzy poetyczności, jest jednak poezya żywa i szczerą.

„Kmiecie my wszyscy tu jesteśmy—powie ten człowiek—i od uczestnictwa w związku pracy nikomu wyminąć się nie wolno, pod karami wielkimi, które stąd na społeczeństwo upadają.

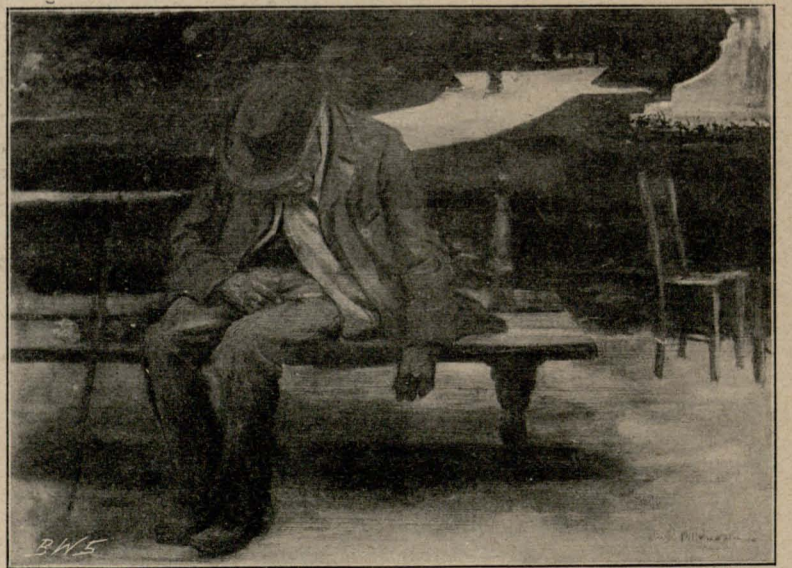
„A kara jest pierwsza i najstraszniejsza za to, że się słowo rozłamie narodowe na słowo ludowe i zewnętrzne, na słowo uczone”.

Tak mówi „Monsalwat”, jeden z tych rzadkich utworów, w którym apostołstwo łączy się z królewskością. Taką mową wspa-niałą rozpoczął się pogrzeb modernizmu.

Za to, że przywdział fałszywą szatę królewską, za to, że zapomniał o apostołstwie w narodzie, za to spotkała go kara pierwsza, a najstraszniejsza.



W DRODZE



L. PILICHOWSKI

BEZDOMNY

L. PILICHOWSKI





MODLITWA (z wystawy specjalnej w Salonie T. Z. S. P.)

LEOPOLD PILICHOWSKI

BOLESŁAW PRUS:

## Nasze obecne położenie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

V.

Prędzej czy później, ograniczenia z jednej, a przywileje z drugiej strony muszą upaść, a wówczas okaże się, że naród, wychowany w cieplarni, nie wytrzyma współzawodnictwa z tym, który wzrastał o głódzie i chłódzie, który cierpiał ucisk, doznawał nieustannych przeszkód, a mimo to wszelkie swoje potrzeby musiał zaspokajać sam, własnym rozumem i własnym wysiłkiem. Dla przyszłości narodu nieomal bezpieczniejsze jest prawo wyjątkowe, aniżeli przywilej. To też bardzo wątpię, ażeby naprzykład pruski rząd doczekał zbyt wielkiej pociechy ze swoich kolonistów, takim nakładem osadzanych w Poznańskiem. Ludzie ci w ciągu kilku pokoleń w najlepszym razie staną się Polakami, w najgorszym—zgałanieją.

A teraz zobaczymy: w jaki to sposób my zachowujemy się wobec kwestyi żydowskiej. W tym celu postawmy sobie jedno możliwie najprostsze, oślepiająco jasne pytanie: czy my kiedykolwiek staraliśmy się bliżej poznać Żydków?... Czy mamy, choćby ze streszczeń, wyobrażenie o tem, czem naprawdę jest Talmud?

Czy wiemy, co mówią ich książki i teatry, jakie strumienie idei krążą po ich czasopiśmie, liczących *kilka razy więcej* nabywców i czytelników, aniżeli nasze? Czy znamy ich partye i liczebne stosunki takowych? Czy potrafimy odróżnić w t. zw. chałatowym Żydzie, kto jest naszym przyjacielem, a kto nieprzejednanym wrogiem polskości? Czy znamy ich życie domowe, zajęcia, rozrywki, ideały, boleści i radości, sympatyje i antypatyje?...

Drugie pytanie: w jaki sposób oddziaływaliśmy na sprawę żydowską? Prawda, że nigdy nie narzucaliśmy się im z naszą narodowością, wyznaniem, ani mową, co uważam za dobre, gdyż narodowość nie jest sklepikiem, do którego na gwałt wciąga się za polity przechodniów. Ale czy umieliśmy przygarbiać tych Żydków, którzy sami rwali się do cywilizacji, a może i do naszej narodowości, za co tłum żydowski ośmieszał ich i prześladował?... Czy w epoce, gdy rząd począł rozmyślać o wypędzeniu wielu tysięcy Żydków z Wielkorosyi, czyniliśmy jakiegokolwiek starania, ażeby uchronić i nasze społeczeństwo, i Żydków, i państwo rosyjskie od skutków podobnego błędu?... Bo przecież Żydzki, rozlani równomiernie po całej Rosyi, tworzyliby materjał dla społeczeństwa użyteczny; *kułak* wielkorosyjski ma być znacznie gorszym lichwiarzem i wyzyskiwaczem, aniżeli tego samego gatunku specjaliści żydowscy. Ale nagromadzenie Żydków w jednej prowincyi państwa przypomina tratwę, na której jakąś gromadę

podróżnych spędzonoby do jednego kąta, zamiast rozdzielić ich proporcjonalnie na całej powierzchni. No, ale to nie należy do nas; przeznaczenie prowadzi Rosyę po jej własnych drogach.

A nareszcie spojrzymy na najboleśniej-szy punkt w sprawie żydowskiej, na największe zło, któremu oni—podkreślam to—są mniej winni od nas. Dwie dziedziny pracy społecznej—handel, będący niby systemem krwioobiegowym, i przemysł, pełniący rolę żołądka, dobrowolnie oddaliśmy Żydom, którzy zawsze uważali się za obcych, a niejednokrotnie przeciwstawiali się naszym narodowym interesom. Cóż to za straszna ironia losu! nie tylko dźwigać łańcuchy, ale jeszcze mieć cudzy żołądek i cudzy system krwioobiegowy, który, od czasu do czasu, odzywa się:

— Ja nie jestem wasz!... ja jestem prawdziwy Rosyanin... prawdziwy Niemiec... prawdziwy Rusin!... Ja wreszcie jestem prawdziwy Żyd!...

A przecież do handlu i przemysłu mieliśmy wybornych nauczycieli-Niemców, którzy nie tylko lepiej, aniżeli Żydzki, znają się na sprawach ekonomicznych, ale jeszcze w drugim lub trzecim pokoleniu stawali się Polakami i dostarczali przepięknych sił naszemu narodowi. Czy to nie znaczy (nie chcę wyrokować), że Niemcy, Francuzi, Anglicy, Włosi ideowo i uczuciowo są nam nieskończenie bliżsi, aniżeli Żydzki?

To kopnięcie przez nas spraw ekono-



micznych, to lekkomyślne odsunięcie się narodu od najpłodniejszych dziedzin pracy nowożytnej, obok jednoczesnego marnowania pieniędzy nie tylko na zabójcze dla nas wojny, ale jeszcze na konie wyścigowe, karty, jałowe podróże, na wszelkiego rodzaju zbytki i rozpustę, jest jednym z najcięższych grzechów narodowych, za które dziś zła dola pastwi się nad nami.

Lecz powtarzam: mimo wszystkie niedogodności z Żydów nie zalecałbym jakichś specjalnych ograniczeń. Nasza solidarność narodowa i przestrzeganie kodeksu karnego aż nadto powinny wystarczyć.

— A więc—zawoła czytelnik—jakże bez ograniczeń potrafimy dać sobie radę z Żydami, my, dławieni i sami na wszelkie sposoby ograniczani? Z Żydami, którzy nas zalewają i już zaczynają grać rolę gospodarzy, ba!... nawet panów... zdobywców...

Wiem, że nas dusi ucisk z zewnątrz, że nas osłabia obcy i niechętny żywioł wewnątrz; ale tak wierzę w niespożyte, w nieśmiertelne siły naszego narodu, że w nich, a nie w jakichś prawach wyjątkowych, widzę warunki bezpieczeństwa. Co nam pożałoby ucisk, co dodałoby przywileje, gdybyśmy sami potrafili tworzyć naszą pomyślność, sami budować swoje losy, choćby w najtrudniejszym położeniu?

Cofnijmy się myślą o jakiś dziesiątek tysięcy lat i przedstawmy sobie ludność dzisiejszej Francji albo Anglii, ludność bez dachu, bez żywności, bez narzędzi, otoczoną ze wszech stron dwu i czworonożnymi, śmiertelnymi wrogami. Komuż było trudniej żyć na świecie: nam czy im?... Po milion razy im... Żaden, choćby najgorszy nędzarz naszych czasów nie jest tak nieszczęśliwy, tak zagrożony, tak pozbawiony wszelkich widoków na przyszłość, jak byli oni. Mimo to zwyciężyli prawie nadludzkie przeszkody, a na ich grobach wyrósł dzisiejszy dobrobyt, wolność, cudowne postępy nauk i techniki.

Miejmy tylko energię i nie popełniajmy politycznych i społecznych błędów, a i nasza niedola zamieni się na chwałę. Sposoby zaś, do tego celu wiodące, są bardzo proste, znane od wieków: *mądrość, praca i cnota*, ale wielka mądrość, wielka praca i wielka cnota. I dopiero, gdybyśmy posiadli w pełni te trzy czarodziejskie lampy Aladyna, dopiero wówczas moglibyśmy powtórzyć za naszymi braćmi ewangelikami: „Tu stoję, inaczej nie chcę i nie potrafię, tak mi, Boże, dopomóż”. Kto łaskaw, niech trzyma z nami, kto nie łaskaw, niech nie liczy na naszą sympatyę.

Potrąciwszy nader pobieżnie o kwestyę żydowską, przechodzę do innej, jeszcze drażliwszej, jeszcze boleśniej. I znowu przypominam, że będę mówił o tych sprawach nie jako oskarżyciel, albo sędzia, pozujący na nieomylność, ale—jak brat współcierpiący i współwinny. Wszyscy jesteśmy grzeszni, a dokładniej—wszyscy jesteśmy zahypnotyzowani; kto więc sam ocknął się choćby częściowo, ma obowiązek wołać na swoich: wstawajmy, czas do roboty!...

Nasze egzaminy z patriotyzmu należą do najcięższych, jakie zdawały kiedykolwiek narody. Gdyby zebrać w jedno miejsce krew, wylaną przez Polaków za wolność, może powstałoby drugie Gopło; gdyby zgromadzić kości tych, co polegali w bojach, na szubienicach,



ZADOK KHAN, GŁOWA RABINATU FRANCJI I ALGIERU L. PILICHOWSKI

w katogach, na osiedleniach i wszelkiego rodzaju tułactwach, może usypałby się drugi Wawel. Lecz... jakież z tego pożytek? Niemal... i nawet nie może być, gdyż polski patriotyzm składa się z wybuchów, namiętnych, gwałtownych wybuchów uczucia, którego, niestety! nie oświetlał rozum i nie przerodził go w akty twórczej woli.

Twórcza wola nie miota się naoślep, by po chwili zasnąć, ale obrachowuje, wyczekuje, korzysta z okoliczności, czyli—działa systematycznie, a wytrwale.

Prawdziwy, normalny, patriotyzm to niby orzeł: uczucia są jego piersią, wola skrzydłami i szponami, mądrość—głową. Nasz zaś, nie-normalny patriotyzm ma wprawdzie szeroką pierś, ale brak mu głowy i skrzydeł... Skutkiem czego naród nasz nie jest jak owi purytanie, co to mężnie szli w nieznaną przyszłość, ażeby zbudować nową, wolną i potężną ojczyznę, ale jest jak dziecko, które z rozpaczą wyciąga ręce do odsuwającej się matki—przeszłości.

Czy to, co powiedziałem, ma zachęcać naród do zbiorowej emigracji, albo do możliwego wyparcia się swej indywidualności na rzecz jakiegoś większego i tymczasem szczęśliwszego organizmu?... Ani myślę o tem. Naród liczny i zasiedziały, jak nasz, choćby chciał, nie potrafi oderwać się od swej ziemi; gdyby zaś przez głupotę czy niczemność zapragnął wyprzeć się samego siebie, zdobyłby tylko pogardę i jeszcze większą nieufność, większy ucisk. Pod wyrazami „iść w przyszłość”, jak purytanie, rozumiem, że my jesteśmy wygnancami na naszej własnej ziemi i że wśród zupełnie nowych a bardzo ciężkich warunków musimy stwarzać sobie bezpieczne istnienie i możliwość wszechstronnego rozwoju.

Nie płakać i wdychać za przeszłością, która się co godzinę oddala, nie marzyć o walce bez sił, albo o wskrzeszeniu tego, co umarło, ale brać się do pracy mądrej i płodnej, która zapewniałaby nam życie i postęp. Nie

bohaterów wojskowych czy spiskowych nam potrzeba, ale bohaterskich charakterów, które nie tylko same potrafiłyby wydrzeć się z dzisiejszego błota wszech-europejskiego, ale jeszcze — porwać za sobą naród i wznieść go ponad lenistwo, nędzę, ciemnotę, wyzyski, partyjne nienawiści aż do tych idealnych wyżyn, gdzie króluje doskonałość, a umiarkowane szczęście jest nagrodą użytecznej pracy.

Jak dalece wybujała w nas uczuciowość, nieomal z zapomnieniem o innych władzach duszy, dowodem—już nie tylko popularność, nie tylko cześć, ale wprost—ubóstwianie poezji... Nie dość, że poetów odczytujemy z namaszczeniem, nie dość, że poświęcamy im dziesiątki tomów komentarzy, nie dość, że wynosimy ich ponad ludzi czynu i wiedzy. Jeszcze składamy im hołdy na specjalnych uroczystościach, miarujemy ich prorokami, ba! nawet świętymi...

Niema kwestyi, że poezja należy do najpiękniejszych form objawiania się ducha ludzkiego. Umie ona być malarstwem, rzeźbą, muzyką; bywa też niekiedy puhaem, w którym kipią najpiękniejsze, najszlachetniejsze uczucia. Zanim jednak poezję awansujemy na prorokinią, na przewodniczkę narodu, trzeba pierw sumiennie zbadać, czy między przepięknymi klejnotami tej skarbnicy naprawdę znajduje się skromna igielka magnesowa, która wskaże narodowi nowe i bezpieczne drogi do szczęśliwego jutra?

Poezja to niby tęcza, unosząca się nad falami życia, lecz owe fale mają innych działaczy i kierowników. Wprawdzie, co jest naszym nieszczęściem, posiadamy zaledwie jedną osobistość miary wszechświatowej—Kopernika, lecz obok niego są mężowie, są pracownicy, którzy wiedli naród do cywilizacji, a których prawie zapominamy. Gdzież bowiem uroczystości na cześć Stasziców i Śniadeckich? Gdzie komentarze do Szujskich i Kalinków? gdzie życiorysy: Szentkellera, jednego z ojców przemysłu, Działyńskiego, założyciela biblioteki matematycznej, Girsztowta, założyciela biblioteki medycznej, Kronenberga Leopolda, twórcy banku i pierwszej szkoły handlowej, Chałubińskiego bodaj czy nie ojca szkoły polskich lekarzy, Kronenberga Stanisława, założyciela Kasy Mianowskiego i przytułków położniczych, Wawelberga, inicjatora Tanich mieszkań, współzałożyciela pierwszej szkoły technicznej, Wiemanowej, filantropki, Prószyńskiego, jednego z twórców elementarza. Wziąłem na chybił trafił kilka nazwisk osób zmarłych, ażeby pokazać, że naszemu społeczeństwu dzieje się krzywda, gdy każemy, aby tylko poetom składało hołdy, a zapominamy o rolnikach, technikach, przemysłowcach, uczonych, nauczycielach i wszelkiego rodzaju działaczach, dzięki którym naród istnieje i, choć powoli, lecz posuwa się naprzód.

Prawie to samo dzieje się z wielkimi wypadkami naszej historii. Przecież moglibyśmy wspominać daty założenia wszechnocy jagiellońskiej, uniwersytetu wileńskiego, szkoły głównej warszawskiej, moglibyśmy czcić pamiętkę działalności Komisji edukacyjnej, nie jeden wysiłek z epoki Księstwa Warszawskiego i królestwa kongresowego. Tymczasem my o tych rzeczach zapominamy, aby natomiast jak najhuczniej obchodzić rocznicę np. bitwy pod Grunwaldem!...



HENRYK MOŚCICKI:

## R Z Y M

LUDZIE ODRODZENIA.

II.

Na przełomie średniowiecza i doby nowożytnej zachodzi głęboka zmiana w stosunkach społeczno-politycznych papieżstwa. Pod wpływem rozwoju rządów samowładczych w państwach włoskich, rządów, opartych na mieczu condottierów lub skrytobójczym puginał rywalizujących ze sobą tyranów, papieżstwo musiało zostać monarchią świecką.

Brutalnej, fizycznej sile despotycznych władców należało przeciwstawić równie potężną organizację polityczną. To był warunek decydujący o znaczeniu i powadze tronu papieskiego.

Wiedziano o tem dobrze w Watykanie. Tacy papieże, jak Marcin V, Mikołaj V, Kalikst III Borgia i inni, przedewszystkiem są panującymi, później dopiero pasterzami owczarni Chrystusowej.

Na przyspieszenie tego procesu politycznego wpłynął w znacznym stopniu rozwój życia narodowego w całej Europie zachodniej i północno-zachodniej. Dawna wyłączność potęgi mistycznej Rzymu i świeckiej Cesarstwa niemieckiego poczęła się chwiać, podważana przez budzącą się samowiedzę narodową ludów, do tej chwili zupełnie biernych bądź w swej niewolniczej zależności, bądź też niesprawności cywilizacyjnej. Następuje zrazu powolny, stopniowo coraz intensywniejszy proces wyodrębniania monarchii, władza papieża zwęża się i zamyka w coraz ciaśniejszym obrębie Włoch środkowych; święte Cesarstwo wyrzec się musi urzeczywistnienia niewykonalnej idei wszechświatowego kosmopolitycznego mocarstwa. Walka o byt polityczny, o utrzymanie lub rozwinięcie granic wypełnia niemal całkowicie wszystkie ówczesne programy dworów i gabinetów dyplomatycznych.

Papieżstwo, przemieniwszy się w państwo świeckie, działało i rozwijało się teraz



Kazimierz Chłędowski.

w duchu księstw włoskich, a zatem musiało popełniać te same błędy, które ciążyły na innych organizmach państwowych. Specyficzny charakter rządów papieskich wynikał z powodu przyrodzonych, rzecby można, właściwości papieżstwa jako takiego.

Papieżstwo nie miało, właściwie mówiąc, pierwiastków państwowotwórczych. Trzymane żelazną wolą genialnych jednostek, zasiadających na tronie Piotrowym, traciło swą moc i spójnię wewnętrzną z chwilą, gdy z conclave wychodził papież



Papież Leon X, wed. akwareli z cesarskiego muzeum w Wiedniu.

słabego charakteru lub miękkiej ręki. Brak dziedzicznego rodu panującego i nepotyzm w stosunkach dworskich—to najwalsze przyczyny upadku organizacji państwowej papieżstwa. W nowożytnej dobie różniczkowania narodowości i wzrostu monarchii nacjonalnych forma świeckich rządów papieskich była już przeżytkiem.

Nepotyzm był rakiem, który toczył państwo papieskie i nie pozwalał na przeprowadzenie jakichkolwiek reform wewnętrznych. Papieże renesansowi obawiali się ograniczenia swej władzy i, utrzymywani w tej obawie przez tłumy dworaków, krewnych i przyjaciół, walczyli do upadłego przeciwko soborom. Reformy przyszły dopiero wtedy, gdy

do tego zmusiły stosunki zewnętrzne i trwały okrzyk opinii powszechnej świata katolickiego.

Utworzenie państwa papieskiego na wzór tyranii włoskich miało wszakże, jak słusznie zaznacza autor omawianego dzieła, bardzo poważne i wielce dodatnie znaczenie dla kultury powszechnej. Tylko takie świeckie papieżstwo mogło się zaopiekować humanizmem i w znakomitym stopniu przyczynić do jego rozwoju. Tylko znaczne złagodzenie obyczajów dworu watykańskiego pozwoliło na rozkwit sztuki i literatury, niejednokrotnie nawet wprost niezgodnej z duchem religii katolickiej. Pomimo jawnej sprzeczności, jaka zachodziła między zasadami chrześcijańskimi a wyobrażeniami świata starożytnego, nie miano w Watykanie nic przeciwko ścieraniu się tych w gruncie rzeczy przeciwnych kierunków myślowych.

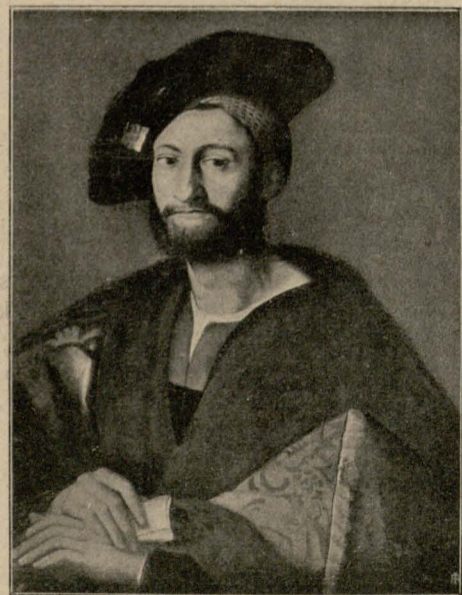
Wiedza starożytna i poglądy pisarzy rzymskich nie na wszystkie umysły jednakowo działały. Jedni czerpali z nich spokojną filozofię życia, inni ze znajomości pogańskiego świata wynieśli pierwiastek niewiary i powątpiewania, w innych znowu wspomnienia o wielkości dawnego Rzymu podniecały namiętności polityczne.

U większości ludzi Renesansu powstała myśl pogodzenia religii chrześcijańskiej z zasadami pisarzy starożytnych; tego rodzaju dążność, ujawniona przez najtęższe umysły epoki, nie przyniosła, rzecz prosta, żadnych rezultatów pozytywnych i spowodowała jedynie najzabawniejsze pomieszanie pojęć. Zwyczajnie chrześcijańskie splatały się nieraz z wyobrażeniami pogańskimi. Jakiś humanista, zamiast zapalać w piątek lampkę przed obrazem Matki Boskiej, stawiał ją przed wizerunkiem Platona; kardynał Bessarion w mowie pogrzebowej, wypowiedzianej nad trumną jednego ze znakomitych Greków, wyraził się, że duch zmarłego dostanie się tam, gdzie będzie mógł pisać z bogami w mistycznym tańcu Bachusa. Wznoszenie modłów do „bogów nieśmiertelnych” było objawem powszechnym; Boga Ojca nazywano często Jowiszem; pewien poeta nie zawahał się nawet wzywać „Jowisza, za nas ukrzyżowanego”!

Praktyczny zmysł Włochów Odrodzenia



Karol V, według Tycyana w Prado, w Madrycie.



Giuliano de' Medici, według A. Allori w Uffiziach.



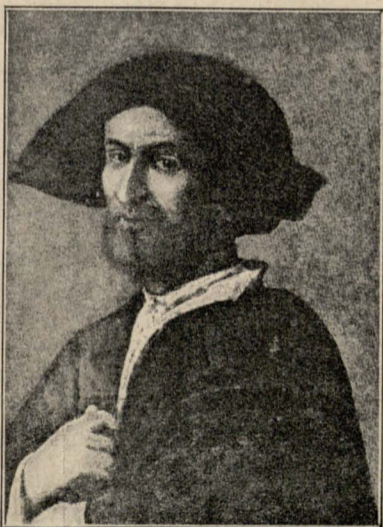


Rzym w połowie XV wieku. Rzeźba Benozza Gozzoli w kościele Św. Augustyna w San Geminiano.

musiał pogodzić największe sprzeczności w rzeczach wiary; głoszone nieraz najskrajniejszy ateizm, jednocześnie nie uwłaczając religii. Umiano również godzić pojęcie o papieżu, jako o namiestniku Chrystusa, z taką choćby złowrogą postacią, jak Aleksander VI Borgia. Wytlómaczono sobie, że papież, następca św. Piotra, a papież rzymski panujący to dwie odrębne osobistości. Tamtego trzeba czcić, tego można otruć lub zasztyletować. Charakterystycznym przykładem takiej sofistyki, głęboko wszakże przenikającej ówczesne umysły, jest fakt, zapisany przez Machiavellego o Vitellozzo Vitellim, który błagał Aleksandra VI o udzielenie odpustu, w chwili gdy go syn papieża kazał zamordować.

Ponieważ wiara ludzi Odrodzenia naogół była formalna, łatwo ją było przeto pogodzić nawet z największym zepsuciem obyczajów. Nie gorszono się zbyt hucznem i nadto swobodnym życiem duchowieństwa, co najwyżej ośmieszano je w literaturze. Do powstania i ugruntowania takich pojęć przyczynił się niewątpliwie humanizm, rozczytanie się w

autorach starożytnych, rozmiłowanie w filozofii epikurejskiej. Wyższe warstwy społeczeństwa nie wyrobiły sobie jeszcze żadnej zdrowej etyki; dwoistość wpływów: chrześcijaństwa i pogaństwa, mąciła pojęcia najzdrowszych



Cezar Borgia (pinakoteka w Forli).

jednostek, stwarzała chaos, z którego nie umiano narazie wybrnąć. Niekiedy również wygodniej było poniechać wszelkich rozumowań na temat wszelkiej, czy to powszechnej, czy indywidualnej moralności i pić aż do niepamięci z pełnej czary rozkoszy.

Ten brak etyki, łącznie z zanikiem uczuć ludzkości i miłosierdzia, był wielce niekorzystną cechą Włochów Renesansu. Vendetta, morderstwa z zemsty dla najbliższych powodów, nieraz wprost dla przykładu, były na porządku dziennym. Surowe a okrutne kaźnie tyranów krew w żyłach ścinają. Oto np. scena z egzekucji Orsiego, jednego z po-

dejranych o udział w zamordowaniu Girolama Riaria. „Babone (kat) nie powiesił Orsiego na oknie, jak jego poprzedników, lecz sprowadził go na dół, na rynek, przywiązał starca do konia i kazał pędzić przestraszone zwierzę wokoło placu, dopóki delinkwent ducha nie wyzionął. Następnie

zoldactwo posiekało trupa w kawałki, a jeden z medyolańskich potworów wydarł krwawe serce z ciała, wziął je do ust i, „jak pies, je kąsał”. Tego rodzaju zwierzęce okrucieństwa musiały strasznie powodować zemstę, a łańcuch zbrodni rósł i przedłużał się w nieskończoność.

Aczkolwiek literatura starożytna wywarła naogół ujemny wpływ na osłabienie uczuć religijnych i rozluźnienie obyczajów, niepodobna wszakże pominąć jej dodatniego znaczenia w dziejach rozwoju narodowego Włoch. Poczucie narodowe, nikłe i ciasne w średniowieczu, wzmaga się pod wpływem arcydzieł świata greckiego i rzymskiego, którego Włosi poczuli się następcami. Wielkość dawnego Rzymu, niezniszczalna moc jego wysokiej kultury duchowej były to pierwsze czynniki powstania patriotyzmu włoskiego.

„Największą wszakże zdobyczą czasów Odrodzenia dla kultury—słusznie zaznacza autor—było rozwinięcie i wykształcenie zmysłu krytycznego. Krytycyzm zerwał z oczu społeczeństwa to bielmo, które przez długie wieki ludziom wzrok zasłaniało, kazał im badać, rozglądać się w przyrodzie i otoczeniu i dał początek naukom ścisłym, astronomii,

chemii, fizyce, naukom społecznym, oparł historię na racjonalnych podstawach... Pragnienie wiedzy i prawdy zrodziło renesansowych olbrzymów nauki i stało się podstawą nowoczesnej kultury”.

\* \* \*

Takie są podane tutaj jaknajzwięźlej wyniki badań Kazimierza Chłędowskiego nad Rzymem Odrodzenia. Badania te dotyczyły niemal wyłącznie strony politycznej i oby-



Imperia. Szczegół z „Transfiguracji” Rafaela w Watykanie.

jowej; potężny rozkwit sztuki Renesansu nie był przedmiotem rozważań autora. Nie zmniejsza to bynajmniej wartości książki, zbudowanej z wielkim nakładem pracy i przenikniętej gorącem, a pełnym zarazem dostojnej powagi umiłowaniem przedmiotu.

ZYGMUNT RÓŻYCKI:

## ZACZAROWANY ŚWIAT.

I.

Bór ciemny, gęsty, pełen żywicznej wilgoci,  
Rozrzucony na wielkim, bezkrotnym obszarze,  
Zaraz księżyc się w pełni z poza chmur ukaże  
I iglaste wierzchołki drzew lekko ozłoci.

Zaraz szmery pobiegną po liściach paproci,  
Z tajnych uroczysk mgielne się wychylą  
twarze,  
Wszystko zadrga, zaszumi w czarownym  
pogwarze,  
Złoty jaskier się przywrze do białej stokroci.

Z leśnych jezior i krynic przejrzystej topieli  
Wyjdą gibkie rusałki w srebrzystej otęczy  
I usiądą na sosen zwalonych poręczy.

Śpiewny głos ich się echem daleko rozstrzeli  
Po pustkowiach, gdzie księżyc przyświeca  
najjaśniej,  
I zaraz się rozpocznie świat cudów, świat  
baśni.

II.

Idę leśną ścieżyną, wijącą się kręto  
Pośród krzaków jałowca i paprotnych liści,  
Które rosa wieczorna zmyła najsrebrzyściej,  
I wsłuchuję się w ciszę lasu niepojętą.

Idę cicho, powoli—pod memi stopami  
Chróst sucho trzaska, srebrny mech lekko  
szeleszcze,  
Przez kory sosen dziwne przebiegają dreszcze,  
Przebudna pieśń młodości w smagłych piersiach  
gra mi.

Idę cicho, ostrożnie po leśnej ścieżynie  
Złota twarz księżycowa rozwidnia mi drogę,  
Z dalekich gdzieś wyrębów chorał  
świerszczów płynię.

Idę i dziwnej myśli wyzbyć się nie mogę,  
Że, gdy, dobiegłszy końca, zбочę ku polanie,  
Ktoś tajemniczy wyjdzie na moje spotkanie.



SZYMON TOKARZEWSKI:

# Wizya czy rzeczywistość.

(ZE WSPOMNIEŃ KATORŻNIKA).

2)

Tymczasem orkan ucichł, śnieżycy ustała, chmury odpłynęły daleko, z błękitno-srebrzystego nieba tu i owdzie wycierały migotliwe gwiazdeczki. Zapas drzewa wyczerpał się zupełnie, ostatnie szczapki tliły się już na palenisku.

Ogarnęła mnie trwoga, co dalej będzie z nami? A zwłaszcza, jeśli Tagir rozchoruje się na dobre, co ja sam pocznę w tej puszczy? Instynkt kresownika byłby Tagira łatwiej doprowadził do siedzib ludzkich.

— Ha! niema innej rady! sam pójdę na rekonesans.

Zamiar swój postanowiłem spełnić bezwzględnie. Wdziałem niedźwiedzią „kuklankę”<sup>\*</sup>, olbrzymią czapę niedźwiedzią, także rękawice; pistolety wzięłem za pas, żelazny pręt w dłoń; kompas, krzesiwko, hubkę, latarkę, trochę rumu w manierkę. Spętałem koniom nogi, aby nie uciekły, spłoszone czemś, jeszcze lepiej otuliłem futrami Tagira i, szczelnie zamknąwszy wrota, wyszedłem.

\* \* \*

Nad okolicą unosiła się leciuchna mgła, ametystowego koloru... Przy bladym świetle księżycy i gwiazd w oddali majaczyły czarne sylwety okrągłych u podstawy, ostro zakończonych budynków.

— Pewno jurty Kirgizów, albo Tatarów—pomyślałem, a że z doświadczenia znana mi była szczerza gościnność tych koczowniców, uradowany, żwawo podążyłem ku mniemanym „jurtom”, które okazały się—stogami siana...

Było więc rozczarowanie narazie przykre, lecz niezupełne.

Stogi siana, ogrodzone starannie, znamionowały bliskość mieszkań ludzkich.

— Odwagi, Robinsonie syberyjski!—rozśmiałem się, i, nucąc półgłosem jakąś wesołą piosenkę, z wiarą w pomyślny skutek swoich poszukiwań, poszedłem dalej.

<sup>\*</sup>) „Kuklanka”—długa futrzana bluza z pasem i kapturem.

Na stepie panuje cisza, przerywana tylko chrzęstem śniegu, uginającego się pod moimi stopami.

Prosto przed siebie idę dość długo, wreszcie poprzez mgły przezrocza dostrzegam coś, niby kolumnę porfirową, cenikowaną rubinami i złotem. Kolumna, sztywna u podstawy, w górę pnie się coraz lżejsza i lżejsza, aż jej wierzchołek całkiem się rozwiewa w kształcie mnogich pióropuszków...

Baczniej i dłużej wpatruję się w ową kolumnę i...

— Dym! dym! — wołałem uszczęśliwiony, nie bacząc, że ów słup dymu może wydobywać się z komina jakiejś włościańskiej „zaułki”, lub też z ogniska, rozpalonego przez „brodiagów”<sup>\*\*</sup>), którzy niezawodnie nie wypuściliby mnie z rąk swoich żywcem. Radość dodaje mi sił... Pędzę...

Wiatr podniósł się właśnie... Niby teatralną kurtynę, rozsunał przede mną mgłę i odstąpił wzgórek z dwoma budynkami.

Nu drugim planie dom... Z okien biją łuny światła... Na pierwszym—długi, wysoki, prostokątny budynek bez okien, o ścianach z nie ociosanych berwion. Wielkie wrota są naścieżaj rozwarłe. Wewnątrz na kominie grube polana to płoną, to gasną, wytwarzając fantastyczne oświetlenie, naprzemian oślepiająco jasne, to znów pogrążające wszystko w mroku...

Przystanęłem przed wrotami, chcąc wymiarować, gdzie jestem? dokąd i do kogo przyznał mi się dobry czy zły los?... Cichutko usuwam się w cień... Wyteżam wzrok i widzę... Tuż przed otworem wrót, na deskach, o kozły wspartych. plecami do mnie zwrócona, leży naga... no! zupełnie naga kobieta... Młoda, wysoka, wysmukła, o cudnych kształtach, któreby artysta-rzeźbiarz z rozkoszą odtworzył w marmurze. Jasne, burzstynowego koloru włosy w długich pasmach spuszczają się, dotykając podłogi; okrywa kobietę, ściśle do nagiego ciała przylegająca siatka srebrna, przetykana mnóstwem mniejszych i wielkich brylantów, które skrzą się i mienią wszystkimi barwami tęczy. I we włosach kobiety diamenty także lśnią i grają, ilekroć mocniejszy płomień buchnie od komina.

<sup>\*\*</sup>) „Brodiaga”—zbrodniarz, zbiegły z katorgi.



Przy bladym świetle księżycy majaczyły w oddali czarne sylwety. Rys. Jan Holewiński.

Co to jest?... co to jest?...

Słyszę zamazyste stąpania kilku ludzi w obuwiu, grubymi gwoźdźmi podbitem... Słyszę łomot i trzask, jakgdyby ktoś ogromną i ciężką bryłę lodu cisnął na kamienną podłogę... Słyszę głos chrapliwy, ordynarny:

— Naści tobie, czarcie „pohany”!

Głos drugi:

— W cieplej izbie na „miakkich diwanach” wylegują się, psie syny, a ty, człeku, siedź w lodowni, w szopie, wączaj smród!

Głos trzeci przedrzeźnia kogoś:

— Dwie trefi... Tri czerwi! „Gaspada! niewierny szczoł!”

Głos czwarty:

— Przy kartach herbatę z „ogniem” chlają. Wino żłopia, a naszemu bratu gorzałki brak.

Wiele głosów nuci:

„Na warcie sałat stał,  
Biedniaczek, wodki nie miał”...

Pieśń cichnie, przerwana czkawką niektórych śpiewaków...

...Co to jest?... gdzie ja się dostał?... Zewsząd zionie groza... Ale z tej grozy promienie jakaś nadzwyczajna siła, która mnie do tych wrót przykuwa, która mi nie pozwala odejść, odwrócić oczu i nakazuje mi patrzeć... patrzeć... patrzeć... Kilkunastu chłopów, w kozuchach i futrzanych bermystach przysuwa się do ognia. Jeden olbrzym odłącza się od gromady. Zbliży się do leżącej na deskach kobiety, kosmatą łapą chwytając jej delikatne ramię... potrząsa niem:

— „Praszu ka mnie, sierdce!”

Te słowa, śmiech i żart sprośny wyrzuca z gardziela...

— Ohyda! Ohyda!... Całą siłą woli tłumię krzyk... Uciekam...

\* \* \*

W jaki sposób z powrotem trafiłem do bałaganu, nie mógłbym nigdy zdać z tego sprawy...

— Oj! panie! na wieki wieków, amen! jakżem się bał, czy aby „buryan” nie porwał pana... I nie wiedziałem, co robić, gdzie pana szukać? Tak się przeląknę, aż mi serce wskoczyło do gardła—radośnie wita mnie Tagir, już zdrow zupełnie i wesoły, jak zwykle. Na kominie woda kipi w kociołku, konie wypoczęte, i sanie gotowe do drogi. Dzień zapowiada się bardzo pogodny. Chłopak znów pyta:

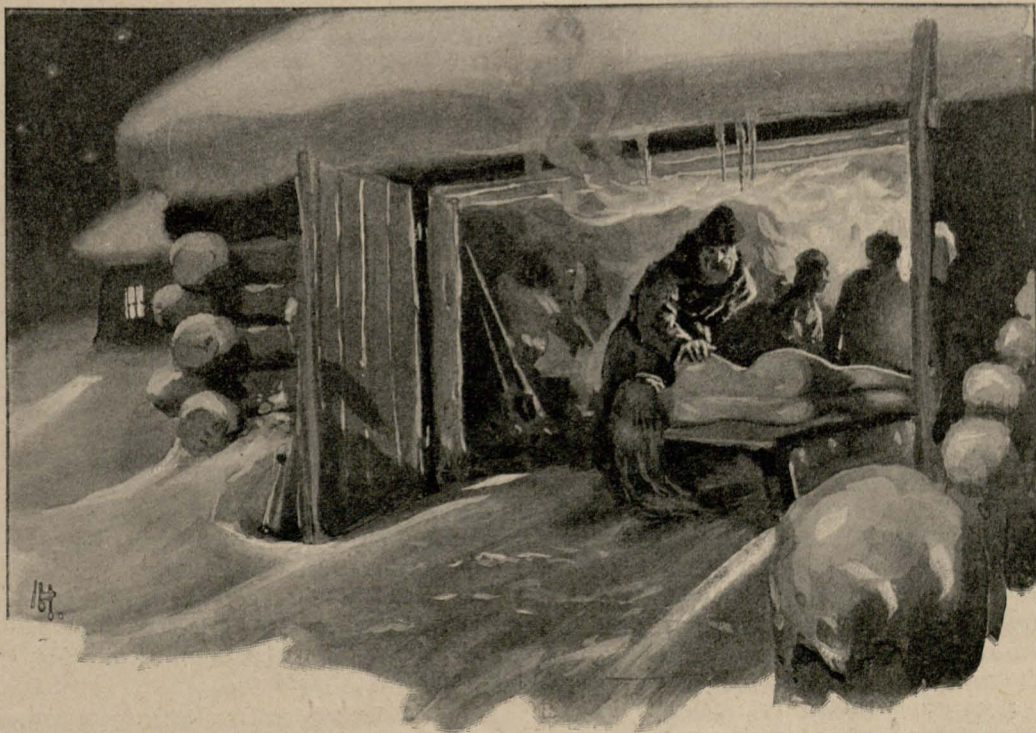
— I gdzie pan był? Skąd powraca?

— Żebym ja sam wiedział — odpowiadam — gdzie był i skąd powracam?

— Na wieki wieków, amen! — woła Tagir i spogląda na mnie przerażony.

Orientuję się, że, oczywiście, z niewiadomych mi przyczyn miałem jakąś piekielną wizję, o której przecież nie mogę temu zabobonnemu Tunguzowi opowiadać... To, com rzekł, obracam w żart.

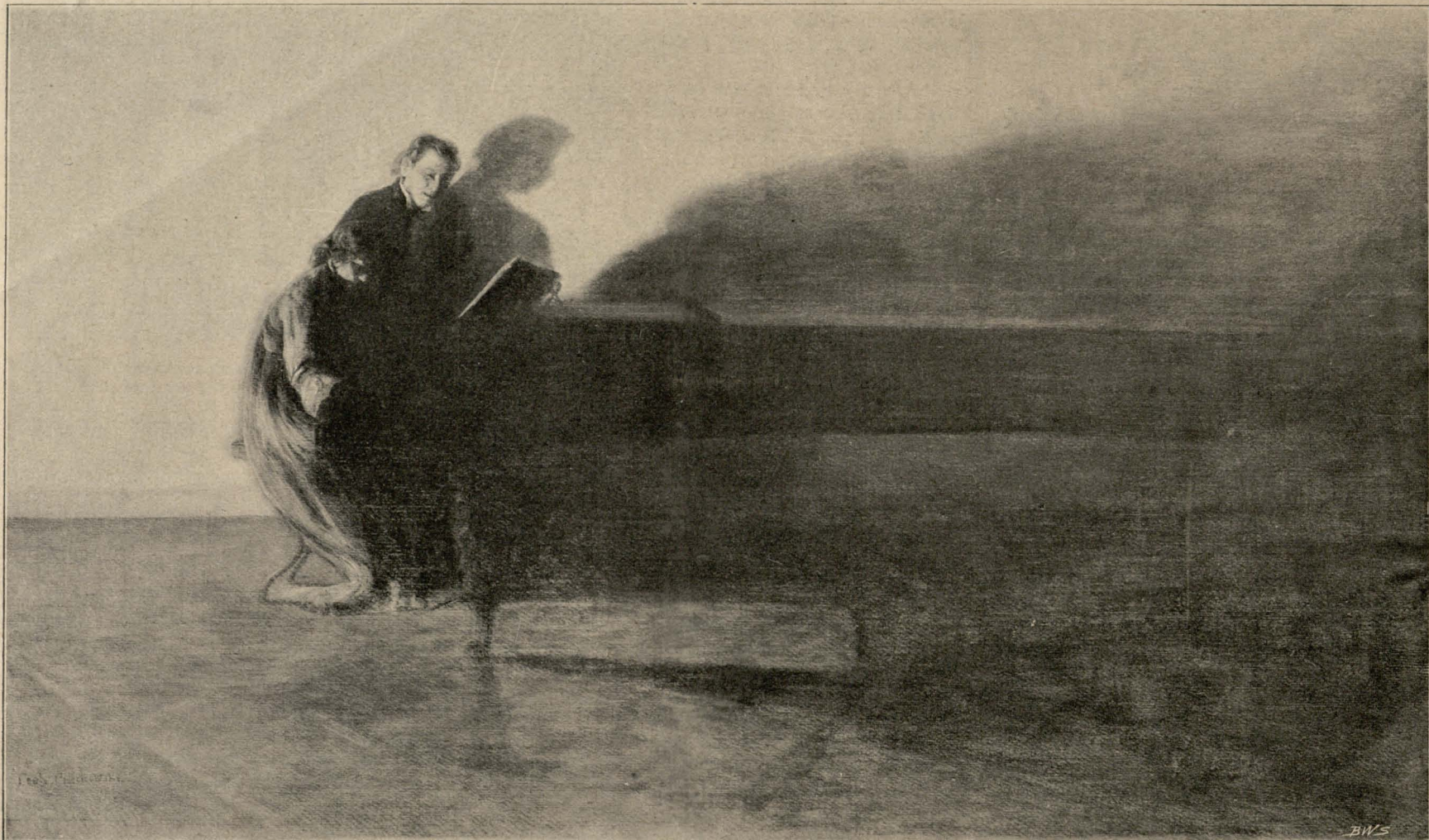
Wyruszamy w drogę. Pozostałe 150 wiorst do Omska przebywamy bez żadnych przygód.



Kosmatą łapą chwytając jej delikatne ramię, potrząsa niem.

JAN HOLEWIŃSKI





PAMIĘCI CHOPINA (z wystawy specjalnej w Salonie T. Z. S. P.)

LEOPOLD PILICHOWSKI

Od owej strasznej nocy na stepie wspomnienie tego, co było czy piekielną jakąś wizją, czy rzeczywistością, nie odstępowało mnie ani na chwilę. Nie zwierzałem się nikomu z obawy, żeby mnie nie ogłoszono za waryata. Straciłem humor, apetyt, sen. Stałem się milczący, apatyczny, zgryźliwy. Zacząłem poważnie zapadać na zdrowiu. Mój pryncypał Świetyłkin nalegał, abym się udał do lekarza do Omska, co też uczyniłem wreszcie.

— Kochany panie — rzekłem do życzliwego mi doktora Borysa — przychodzę upraszać was o poradę lekarską. Ale okoliczności, które wywołały moją chorobę, są tak dziwne, że musisz, doktorze, długiej mojej opowieści wysłuchać.

— Już słucham z uwagą i zajęciem.

— Czy nas kto nie podsłuchuje?

Borys wyprawił służącego do miasta, zamknął drzwi na klucz, usadowił mnie w wygodnym fotelu, sam usiadł naprzeciwko i rzekł:

— Słucham, kochany panie.

— Powiedz mi, doktorze, — zaczynam — czy przywidzenie, złudzenie jakieś wzrokowe, jakaś halucynacja może w duszy ludzkiej tak się ugruntować, że je człowiek za rzeczywistość poczyta?

— Trafia się to, zwłaszcza w chwilach wielkiego podniecenia, wielkiego napięcia nerwów.

Ponieważ każdy szczegół z tego, co w owym tajemniczym budynku na stepie widziałem, głęboko wżarł się w moją pamięć, bardzo drobiazgowo opowiadałem i kończę pytaniem:

— Czy więc to wizja była?

— To była rzeczywistość — najspokojniej odpowiada Borys — pozwól pan cygaro? Proszę. Zaraz to panu wytłómaczę. Wiadomo panu, jak częste w naszych stronach są zbrodnie, osobiście zaś morderstwa. Niepodobna więc, aby na każdą wieść o zabójstwie sędziego śledczy i lekarz setki wiorst pędzili na miejsce przestępstwa. Nie starczyłoby im ani siły, ani czasu. Że zaś śledztwo i obdukcja muszą być przeprowadzone i protokoły spisane, przeto zwłoki zamordowanych i zmarłych

śmiercią nienaturalną składają się w budynkach, na ten cel urządzonych. Aby ciała uchronić od zupełnego rozkładu, przechowują je w lodowniach. Kiedy zbierze się dużo zwłok, zjeżdżają: sędzia śledczy, lekarz i felczer. Przed sekcją najęci chłopcy wynoszą trupy z lodowni, aby odmarzły w ogrzanej izbie. Pan właśnie był świadkiem tych przygotowawczych czynności do sekcji. Mogę nawet powiedzieć panu, kto była kobieta, którą za Omskiem znaleziono zamordowaną w tajemniczy sposób. Znana piękność tutejsza... Ale pana, jeśli się nie mylę, piękne kobiety nie obchodzą?

— Aborygentki, nie!

— Zgoda! ale do rzeczy. Owa srebrna siatka na zwłokach Nataszy to poprostu szron. Brylanty to kryształki lodu... W tym zaś sąsiednim, oświetlonym rzęsiście domu, ani chybi, lekarz, sędzia i felczer uprzyjemniali sobie czas przed czynnością, rzeczywiście, bardzo przykrą. Więc tak, mój zacny panie, a kochany przyjacielu, to, coś widział na stepie, nie halucynacją było, ale rzeczywistością, pospolitą u nas... Niewątpliwie, jeszcze nie raz jeden spotkasz się z nią w swoich podróżach.

## Dla dzieci.

Literatura polska nie miała dotychczas swojego Amicis'a. Nie miała pisarza wielkiego talentu, który poświęciłby ten talent całkowicie młodzieży i stał się duchowym jej przewodnikiem. Przeciwnie. Dla młodzieży piszą u nas książki najczęściej ludzie o miernych talentach twórczych i o małej kulturze artystycznej, jakgdyby ten dział literatury był mniej ważny i mniej doniosły dla życia narodowego od innych.

Dziwnie też ubogo w zestawieniu ze wspinałym rozwojem współczesnej poezji i powieści polskiej wygląda dorobek naszego piśmiennictwa na polu beletrystyki pedagogicznej. Nie zdołają go ocalić nawet szlachetne tendencje, czystość

myśli, uczuć i dążeń, które dopiero wówczas rolę swoją należycie mogą spełnić, gdy podane zostaną w formie pięknej, nawskroś artystycznej.

Nieco lepiej od literatury dla młodzieży przedstawia się literatura dla dzieci. Tu mieliśmy już przykłady, że talenty dużej miary zniżały się do poziomu umysłowego małych czytelników i szły ku nim, jak Konopnicka, z całym czarem swojego słowa i z całym sercem swego miłowania. Nie zapełniło to jednak bynajmniej braku, który był i pozostał dotkliwym, o czym wymownie świadczy ogromna ilość książeczek dla dzieci, tłómaczonych lub przyswojonych z języków obcych. Angielskie, niemieckie i francuskie wzory, o ile wogóle są dopuszczalne, powinny jednak pozostać tylko wzorami. Niepodobna kształcić na nich umysłów i dusz dzieci polskich, które mają prawo żądać od literatury ojczystej pokarmu ojczystego. Niepodobna, zwłaszcza dzieciom ludu polskiego, podawać strawy, przyprawianej przez obcych.

Zrozumiał to i ocenił należycie Zarząd Towarzystwa szkoły ludowej w Krakowie. Oto zamierzył on wydać w roku bieżącym pod postacią podarku świątecznego książeczkę zbiorową utworów wierszem i prozą dla najmłodszego pokolenia czytelników polskich: dla dzieci, w wieku od lat 5—8, i w tym celu zwrócił się do najwybitniejszych sił pisarskich polskich z prośbą o współdziałanie.

Niewątpliwie prośba ta znajdzie oddźwięk, i pierwsza „Książeczka autorów polskich”, przeznaczona dla dzieci polskich, ukaże się niebawem w druku, aby zadzierzgnąć węzeł trwałej sympatii pomiędzy pisarzami a dziatwą.

Byłoby jednak pożądane, aby czytankom takim zapewnić odrazu ciągłość i uczynić z nich stałe, doroczne wydawnictwo gwiazdkowe Towarzystwa szkoły ludowej.

Na drobny wiersz lub urywek prozą (nie przenoszący, jak to zastrzega w odezwach swoich Zarząd, 2-ch stron średniej ósemki dużym drukiem) stać każdego, i z pewnością każdy pisarz





LWÓW.

polski złoży chętnie i bezinteresownie tę skromną daninę na rzecz Towarzystwa, którego praca i zasługi dla oświaty narodowej powszechnem cieszą się uznaniem. W ten sposób powstawać będą mogły dobre, posiadające rzeczywistą wartość literacką, a jednocześnie i tanie książki dla dzieci. A pójdą one i na poddasza robotnicze, i pod strzechę włościańską, aby nieść tam światło wiedzy i gorące umiłowanie kraju ojczystego, którego przyszłość tkwi w załączku w jasnowłosych główkach i małych serduszkach dzisiejszych dzieci, a jutro—dojrzałych i świadomych dróg i obowiązków swoich obywateli.

Z. D.

KORNEL MAKUSZYŃSKI:

## LISTY LWOWSKIE.

Dni Króla-Ducha.

Resztkami płuc suchotnicznych dmiemy w schorzałe piersi nasze, jak w spopieliałe ognisko; powtarzamy szeregi aforyzmów, słuchając, czy w którym z nich nie oddźwięknie odpowiedź, gdzie jest choroby zło, a gdzie są leki; pytamy melancholii o radę, a smutków, czy nie wiedzą, gdzie jest—rozpacz; patrzmy w stronę zachodnią, z uporem ludzi chorych, zapomniawszy, że słońce z przeciwnej wjeżdża strony, i szukamy dusz własnych, nie wiedząc, gdzie się nam zapodziały dusze. Taki oto męt w oczach, a na ustach gorycz miała na twarzy ta gromadka obłąkana, która wyszła na drogi, do Emaus wiodące, czekając Chrystusa, by przyszedł i dzielił dobro oczu między tych, którym oczekiwanie dusze zżarło.

Ktoś naprzód wybiegł, ktoś chory na obłąd nadziei, ktoś chrystusowymi tylko snami widzący; dusze umęczone wybiegły, wężąc ślady słoneczne w pyłe gościńców. Ślepcy podnosili dłonie do oczu, jakby się wpatrywali w dale nieskończone, głusi wstrzymywali oddech w piersi, słyszeć chcąc. A niema męki okropniejszej nad mękę czekania na pustkowiu gościńców, którymi nikt nie chodzi; więc w piersi gromady nieszczęsnej, zmartwiającej w śmiertelnym czekaniu, syknął najpierw ból, jak wąż, a potem targnęła nią rozpacz; a kiedy znużyło ich szaleństwo, przypomnieli łyzy, te najlepsze z dobrych, dziecinne i bezgłośnie, cudne łyzy, które im padły między słowa pieśni i w wyrazy im się codzienne wplotły.

Pamiętasz, Młoda Polsko?...

Gromada obłąkana i chora, trwożąca dzieci bladością twarzy, pośmiewisko głupich; gromada Don Kichotów, przybranych dziwacznie w pstre płaty, wycięte z szarżyny życia; rzesza bezdomna, ludzie szaleni, śpiewający

hymny swojemu szaleństwu, ludzie dobrzy i ludzie nieszczęśliwi.

Ktoś plunął tym ludziom, w tęsknotę wierzącym, jak w Boga, w twarz, ktoś kopnął ich, jak psa, który przerywa spoczynek. Ktoś cytował ustęp z Pisma, że należy oddać cesarzowi, co cesarskiego, a co Boskiego, Bogu, i czekać śmierci na wygodnym sprzężynowem łożu.

Oddać Duchowi, co jest Ducha?!

A gdzież tak napisano? Słowacki powiedział?

Ten błąd z czarnymi oczyma, oszalały tęsknotą, dla której nikt nie ma imienia, zdruzgotany męką, której prawdziwego rodzaju nikt nie wie, zjedzony bolem, dla którego niema miary? Ten, który z sercem krwawiącym w dłoni poszedł w tę „krajnę niczego, pełną węzowych ślin, pajęczych nici”, i sercem, bladym od przerażeń, „plunął w usta”?... Ten Słowacki... Przeto go uwielbiła pierwsza ta gromada obłąkańców, uwielbiła go rzesza, nie patrząca dróg, chora na piękność i „tylko pięknej pragnąca śmierci”.

A oto on był ten, który z czekających z największym czekał upragnieniem; pośród szlachetnych najbardziej szlachetny; on był ten, który, w słońce patrząc, oczu nie mrużył, lecz tęcze widział, łyzy mając na oczach. Przeto mu padła do nóg rzesza bezdomna i biedna, widząca snami, mówiąca językiem, który jął mowę dusz cichych i tęskniących; uderzyła przed nim czołem i klęczy w zachwyceniu i wodzem go ogłasza. A nie są to „zjadacze chleba”, albowiem—nigdy chleba nie mieli.

I każdy czyni w swoim kółku, jak każe duch jego Boga. To nie herezya, ani bluźnierstwo. Tak wielkiego Boga każdy ma w piersi i w imię jego czyni, a „rozhukanych koni taki bóg nie kielża”. Dlatego rozhukane są drogi, które wiodą szlakiem tęsknoty, nie mającej się czem żywić na gościńcu bitym, na którym jest sto drogowskazów, aby...owce nie weszły w winnice pańskie, szkody czyniąc. Cóż komu o to, dokąd go jego drogi zawiodą! I przez bezdroża iść można z dostojeństwem, a powagą w „elizejskie bory”. A na przedzie Słowacki, jak chorąży, stanął: umęczony, lecz niezłomny, od trosk padający, a potężny, i, klątwę rzuciwszy w brud i ciemność, w kłamstwo i obłądę, krzyknął: „Nie pójdę z wami waszą drogą kłamną”, zastępy całe wiedzie, oddane mu i zaprzysięgłe, rozkochane w nim na śmierć, czytające mu z oczu myśli błyskawicowe, bo zawołał, idąc: „Kto żyw, pójdzie za mną!” Przeto idą. Kondotyerzy szlachetni, „odkrywcy złotych światów”, „króle gościńców

i pijacy słońca”, rozrzutni nędzarze i króle w łachmanach, spadkobiercy gryzących serc i dusz smutnych.

Idą, a—„gwiazdy klaszczą złote”.

Niech im błogostawi dusza z grona największych, oczyma zawsze płonąciami patrząca przez wieko trumny na Montmartre, jak się jej siła fatalna rozpręży i w dusze ludzkie bije i w serca; słuchająca, jak jęczy derwidowa harfa nieśmiertelna, coraz głośniej i głośniej, choć jej na strunie układli gniew i niechęć, trwogę i przerażenie; niech im błogostawi i niech „włóczy się przez ciemnotę i sieje gwiazdy złote”, niech, „jak chłop, w kraj przeorany, rzuca gwiazdy w kurhany”.

Oto jest modlitwa dnia dzisiejszego, mówiona szeptem zachwyty.

Niech młody zapał i bezgraniczny entuzjazm będzie egzekutorem testamentu Słowackiego, drogę mu ścieląc w dusze, aby wszedł we wszystkie. Bo oto zdaje się, że wszystkie dusze polskie otworzyły się naścieżaj, jak podwoje.

„Po kropkach piszę dalej”...

Przez trzy dni czcił Lwów Słowackiego. Czcił na wszelkie sposoby. Czy go uczcił? Lwów jest przekonany, że go uczcił wedle możliwości, pragnąc tego ze wszystkich sił. Jeśli chęć ma za uczynek starczyć, przyznamy stolicy galicyjskiej bardzo wiele. Chęć ta była tak wielka, że Lwów, uniesiony zapałem, zaanektował Słowackiego bez podziału, przynajmniej—na czas uroczystości jubileuszowych. W patosie słów jednakże i w tych wszystkich ślubowaniach i przysięgach, które złożono z racyi święta, tyle było szczerości, tyle nieudanego, gorącego zapału, że i patos przebaczyć się musi. Jedną tylko uwagę uczynimy niezbędną. Oto w niemożności uniknięcia tego patosu jest dowód, że się Słowacki nie da zdemokratyzować *ad usum*, a brak tego bezwzględnie oddania się sobie, brak gorącego stosunku patosem zawsze się kryje.

Lecz uznajmy z wielką powagą, że Lwów uczynił wszystko, co w jego było mocy. Zjazd historyczno-literacki uczynił swoje, uczyniło swoje święto ulicy; ulica starała się spoufalić z dalekiem dotąd jej bóstwem, zaklinając je kilkoma cytatami, między którymi wiersze: „Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei”, były najpopularniejsze; starała się w tłumnej, wspaniałej nawet manifestacji w chwili założenia kamienia węgielnego pod pomnik Słowackiego wyrazić, że mu z głębi duszy pomnik ten daje; lecz się przecież czuło, że na pomniku tym możnaby napisać dla połowy tego ogromnego



tłumu: *Deo ignoto*—„Nieznajonemu bogu”. A napis byłby słuszny... Chociaż może być, że każde słowo dokumentu, wmurowanego w kamień węgielny, dokumentu, napisanego górną i pięknie, jest naprawdę echem rzeczywistego przeżycia ducha polskiego.

Dokument ten opiewa:

„Działo się w roku jubileuszowym Juliusza Słowackiego, tysięcznym dziewiętnastym dziewiątym, który był oraz setną rocznicą urodzin potężnego Ducha poezji.

„Naonczas czcili Go naród polski całorocznym świętem obchodów i rozpamiętywaniem dzieł Jego i natchnienia, a one rozgłosne strofy, jak płomień, przechodziły dusze ludzkie, rwąc je w niedościgłą krainę ideału, wielkich myśli i wielkich umiłowań.

„W roku jubileuszowym Juliusza Słowackiego pełną była cała ziemia polska Imienia Jego i chwały i, gdzie tylko mowa polska rozbrzmiewała, na obu półkulach świata błogosławili pamięć Jego Polacy.

„Onegoż więc roku, gdy w stolicy Polski, Warszawie, nie dano czcili głośno Juliusza Słowackiego, kiedy w Poznaniu pomnik Jego skryć się musiał przed wrogiem do wnętrza świątyni narodowej sztuki, w chwili gdy Kraków, prastara stolica Jagiellonów, pod świetem zostaje wrażeniem olbrzymiego hołdu, Cieniom Poety przez mieszkańców swoich złożonego, a wszystkie miasta, miasteczka i wsie tej części Polski uczcily lub uczczą Geniusza polskiej myśli uroczystymi obchodami, w takiej chwili i jakby na zakończenie roku jubileuszowego, miasto Lwów, stolica kraju, kładzie kamień węgielny pod pomnik Juliusza Słowackiego, który będzie pierwszym publicznym pomnikiem na całym obszarze ziem polskich.

„W grodzie naszym, który od pół wieku już przoduje w kulcie Juliusza Słowackiego, znaczną część Jego rękopiśmiennej spuścizny strzeże troskliwie w swoich bibliotekach, tutaj, gdzie pierwsze wydanie dzieł wyszło Poety i ich pierwsze opracowanie, uchwalilo powszechne zgromadzenie obywatelskie jeszcze dnia 17 listopada 1907 r. wznieść pomnik Wieszczowi, a Reprezentacja miasta, zawsze w popieraniu dzieł patriotycznych chętna, oddała miejsce przed Teatrem miejskim, świątynią narodowej sztuki, pod ten przysły pomnik, mający stanąć ze składek publicznych. Komitet obywatelski, na którego czele stoją: dr. Antoni Małeckie, jako prezes honorowy, dr. Józef Kalenbach, jako prezes ogólny, dr. Tadeusz Rutowski, prezes sekcji obchodowej, dr. Wilhelm Bruchnalski, prezes sekcji literackiej, dr. Wiktor Hahn, jako sekretarz, Wojciech Biechoński, jako skarbnik, zajęli się przeprowadzeniem myśli i kierować też będzie całą dalszą akcją.

„Dzisiaj tedy, w niedzielę, dnia 31 października 1909 r., w czasie obchodu jubileuszowego Juliusza Słowackiego i w obecności reprezentantów kraju, miasta, gości z innych dzielnic Polski i krajów słowiańskich, wobec całej społeczności lwowskiej i wszystkich sfer i zawodów, kładziemy kamień węgielny w miejscu, gdzie stanąć ma pomnik Juliusza Słowackiego, ku czci Jego na chwałę polskiego narodu i przyszłym pokoleniom na wspomnienie”.

Piękne to jest i raduje. Gdybyż jeszcze „rozpamiętywanie dzieł Jego przemożnych” było takie przynajmniej, żeby w lwowskim Teatrze w tygodniu Słowackiego nie było pusto na „Lilli Wenedzie” i na „Księdzu Marku”, na „Kordyanie” i „Balladynie”—jak właśnie było...

Nie trzeba jednak mącić gorzkimi wspomnieniami jasnego wrażenia uroczystości. Wra-

żenie jej bowiem jest wielkie i piękne. Zjazd historyczno-literacki umocnił umysły, cała uroczystość umocniła serca; szeroka ulica, pragnąca przedmiotu uwielbienia i miłości, zaczęła pytać o to, kto był Słowacki.

W promieniu Jego słoneczności otwarły się dusze tych, co zjechali na Jego święto z daleka; nie skarżyli się i nie płakali, mówili słowa otuchy i nadziei. Wzajemne spowiedzi, w Jego czynione imieniu, były szczere, serdeczne i były dobre.

Miasto było wzruszone i tem wzruszeniem szczęśliwe; przeżyło kilka dni wzniesłego podniecenia i oby się już nigdy w niem nie uspokoiło, oby z tego wzruszenia rodziły się nowe, wciąż nowe... I to będzie hołd dla Słowackiego największy; nie żywy obraz na poranku w teatrze, nie bankiet, pełen mów wspaniałych, lecz bicie serc i dusz wyniosłość, które niechaj pięknieją z każdą chwilą i niechaj rosną, dumne i gorące, aby mogły dostać czołem chociażby do piedestału tego pomnika, który przed lwowskim teatrem wyrośnie.

„Powstań, chwało moja, powstań, harfo moja, wstanę ku świtanu, będę wyznawał Pana między ludem Twoim i będę grał między narody...”

## Z teki wrażeń.

### I. NAD MORZEM.

Morze.

W opasce słonecznych blasków lśni ono tysiącem barw nieuchwytnych, niezdecydowanych, ciągle się zmieniających...

Fala podąża za falą, zaznacza się jasną lub ciemną linią grzbietu, podnosi się w górę, nerwowa, gibka, ściele na chwilę przezroczystą głębią tajemniczego zwierciadła, znowu się piętrzy, rozpyla w miliony iskier, aby się roztoczyć w obramowaniu białej piany, na zwilgoconym piasku wybrzeża.

Nikłe tony opalu, przezroczyste—szmaragdu i głębokie—szafiru, poprzecinane strzałkami roztopionego w słońcu srebra, zasuwać się w głąb od brzegu, przybierają jednostajną barwę zielonawo-niebieskiego oddalenia, które się wreszcie kończy ciemniejszą smugą horyzontu...

A ponad nim lazur nieba, drgający światłem, przepojony blaskiem.

Na brzegu pojawiają się dwie kobiece postacie. Zajęte rozmową, rozbowione, śpieszą, w aureoli słonecznych promieni, w atmosferze powietrznej, pełnej gorących refleksów.

Inaraz treść widzianego w naturze obrazu zmienia się zasadniczo. To, co było jego ideowym wątkiem, traci na znaczeniu... Morskie tonie, plusk fali, gra światła, barwny kalejdoskop poruszającego się

odmętu, nastrój nadbrzeżnego pustkowi, wszystko to niknie i staje się zwykłym tłem codziennej ludzkiej egzystencji.

### II. UŚMIECH.

Czem jest właściwie uśmiech?

Czy zwierciadłem, w którym wewnętrzne usposobienie ludzkiej istoty znajduje refleks bezpośredni?

Czy zdawkową monetą życiowych konwenansów, rządzących towarzyskimi stosun-



UŚMIECH

H. PIĄTKOWSKI

kami? Czy nieprzeniknioną zasłoną, poza którą ukrywa się właściwy stan duszy, zgoła różny od rzekomego jej wyrazu? Wszak jeden z najweselszych humorystów, jakich polska literatura wydała, twórca „Ramot i ramotek” pisze we wstępie do nich:

„W uśmiezku każdym zapałem siebie, „Zapałem gorycz, com ją wciąż pił...”

Więc czemuż jest uśmiech?

Wszystkiem i niczem... Zagadką!

Szczególnie uśmiech kobiecy!

A przedewszystkiem uśmieszek kobiecy.

Owo coś, co jest może najsubtelniejszym rysem kobiecości, gdyż nie da się ani pochwycić, ani określić, ani zgłębić.

Coś, co trwa chwilę...

Są biedacy, którzy pamiętają takie chwile do grobowej deski.



NAD MORZEM

H. PIĄTKOWSKI



III. ŻÓLTE KWIATY.

Pani X nie jest przeciętną kobietą.

Uchodzi za istotę wyjątkową, za istotę niebanalną, pragnie bowiem zawsze i wszędzie zaznaczyć swą oryginalność.

Upodobania swoje manifestuje we wszystkim: w ubiorze, w uczesaniu, w urządzeniu wnętrza swojego mieszkania, nawet... w sposobie życia.

Jest jasną blondynką, a mimo to ulubiony swój salonik wytapetowała żółtej barwy obiciem.

— Ach, *ma chère*—wykrzyknął chór przyjaciółek — twoja piękność traci na takim zestawieniu! ty jesteś stworzona do koloru niebieskiego!

— Nic to!—śmiechem odpowiada p. X— a zbliżywszy się do stojącego w kącie bukietu, wyjęła zeń dwa olbrzymie złociste chryzantemy i zatknęła sobie we włosy z obu stron owalu twarzy.

— Fil! Co za pomysł!—zawołały zgodnym chórem przyjaciółki.

Gdy tak ustrojona, oparła się przypadkiem o żółtą portyereę, milczący dotychczas malarz zbliżył się ku niej i rzekł z uczuciem:

— Pani jesteś wielką artystką: tworzysz obrazy...

I rzeczywiście, pani X w subtelnej zestawieniu barw i tonów przedstawiała wyjątkowo zharmonizowane dzieło sztuki, w którym jej piękność zajaśniała niezwykłym blaskiem artystycznej kreacji.

IV. PANIENKA.

U nas, w Polsce, wyraz „Panienska”, określa wyraźnie skryzalizowane pojęcie, tak samo, jak „dama” i „matrona”.

W wyrazie: „panienka” odczuwa się dobre wychowanie, skromność, wdzięk urabiającej się kobiety, naiwność niedawnego dziecka.

„Panienska”, ten prześliczny typ polskiej kobiety, tak cudownie w Zosię ręką mistrza zakłęty, tak sympatyczny i rdzennie swojski w dziełach Korzeniowskiego, Kraszewskiego,



PANIENKA

H. PIĄTKOWSKI



ŻÓLTE KWIATY

HENRYK PIĄTKOWSKI

Sienkiewicza, w życiu naszych rodzin, przeważnie na tle wsi, utrzymał się dotychczas w nieposzlakowanej swej czystości. Ileż to dworów istnieje dotychczas, gdzie „nasza panienska” jest żywym upostaciowaniem pierwiastku anielskości w kobiecie...

Te piękne typy niewieście przesuwają się przez życie bez zgiełku, ciche i spokojne, jakby stworzone wyłącznie na to, aby wpajać w serca ludzkie przeświadczenie, że jednak są na świecie żywe ideały...

Gdy spotkasz na drodze swego życia powabną sylwetę dziewczęcia o jasnym, pogodnym spojrzeniu, pełną wdzięku, ubraną skromnie, a jednak wytwornie, uśmiech jej czaruje, zachowanie przyciąga, możesz śmiało skłonić czoło, jak przed czemś, co pięknnością kwiatu mai szarzyznę ciężkich dni powszednich...

ZGRZYT.

WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

*Rzekomy obraz muzyczny tragi-komicznego życia rycerza z Manszy. — Fikle i nowatorstwa Ryszarda Straussa. — Twórcy i wykonawcy. — Występ koncertowy Pawła Kochońskiego. — „Tristan et Iseult” (tak!) Wagnera na estradzie koncertowej. — Felicja Kąszowska. — Debiuty nowej naszej opery. — Ukazanie się Myszy. — Uzasadniona sympatya publiczności warszawskiej dla rezolutnej imprezy stowarzyszonych artystów operowych. — Wzniesienie po 35 latach staroświeckiej komedii Chęcińskiego „Krytycy”.*

Jeżeli utwór symfoniczny Ryszarda Straussa, zaprodukowany nam przez Fitelberga z bajecznym wirtuozostwem orkiestrowym na drugim z kolei wielkim koncercie w Filharmonii, ma być istotnie *muzycznym* opowiadaniem znanych przygód Don Kiszota...

Jeżeli!

W tem, zdaje mi się, kwestya cała. Sam tytuł *Don Quixote* wskazuje, a p. Opieński w rozumowanym programie koncertu zaręcza, że głośny kompozytor „Salome” i „Elektry” chciał opo-

wiedzieć nam wyszukany, wręcz niebывałyymi głosami tylu a tylu instrumentów cały przebieg życia bohatera Cervantesa.

Sugestia, oczywiście, nielada! Wystarczy, aby we wzburzonym oceanie karkołomnych kombinacji kontrapunktycznych doszukiwać się uparcie... najpierw wytworzenia się organizacji duchowej Don Kiszota, potem jego walki z wiatrakami i baranami, jego duetu miłosnego z Dulcynią, jego pojedynku z rycerzem, etc., etc.

Lecz—czy przypadkiem cała ta sarabanda orkiestrowa nie mogłaby być opowiadaniem np. o zdobyciu Meksyku przez Ferdynanda Cortezę? Lub obrazem pokus, trapiących jakiegoś eremity na pustyni? Kto wie, czy figlarz z przyrodzenia, Ryszard Strauss, nie zmistyfikował nas swawolnie? Co do mnie, nie kładłbym nawet palca w ogień za to, że solo wiolonczelowe, bardzo zresztą piękne, przewijające się, jak pasmo melodyjne, przez całą kompozycję, ma w rzeczywistości wyobrażać... nie!... wyśpiewywać akurat samego Don Kiszota, a że całe tło zapamiętałej gry orkiestrowej ma... malować dźwiękami akurat życie jego!

Nie uspokoją moich perpleksji nawet najbardziej realistyczne odgłosy, odzywające się raz po raz na nie używanych dotąd w muzyce instrumentach, jako to świst wiatru lub ogromnie „naturalne” beki baranie. Mało to komu wiatr może gwizdnąć nad uchem lub stado baranów przebieść drogą!

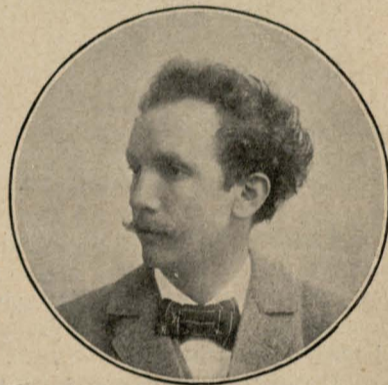
— Karykatura efektów, parodia muzyki, świat, przewrócony do góry nogami! Dusza drętwieje od dysonanów, które pod koniec przestają już działać! — woła p. Sygietyński w *Dniu*.

— Strauss nie tylko jest świętym kontrapunktystą i malarzem barwy dźwiękowej, lecz zarazem humorystą i karykaturzystą—opiniuje uszczypliwie p. Rozenzweig, recenzent *Słowa i Przeglądu Porannego*.

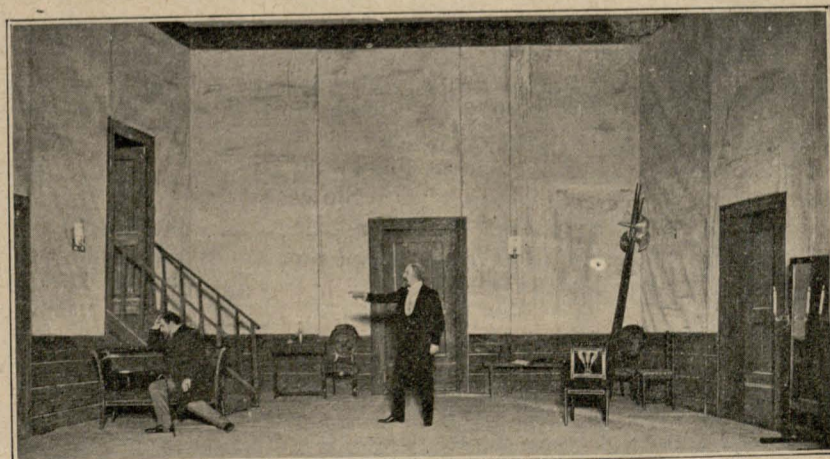
— Nie pojmuję gustu tych, którzy równomiernie zachwycają się kolendami i Strausssem—dorzuca p. M. S., sprawozdawca *Nowej Gazety*, nie wyjawiając nam atoli, jaki wybór uczynił sam.

— Choć jestem straussistą duszą i ciałem (ohol!)—zwierza się p. Poliński w *Kuryerze Warszawskim*—z „Don Kiszotem” Straussa nigdy się chyba nie zgodzę. Obok wspaniałych, cudnych ustępów muzycznych są w przeważnej liczbie waryacyi okropne fałszywe harmonijne, nie dysonanse...

Owóż i widać z powyższych danych, że *Don Quixote*, pomimo prześwieczonego wykonania, nie podobał się pp. recenzentom warszawskim.



Ryszard Strauss.



„Krytycy”. Scena za kulisami teatru między dwoma redaktorami (pp. Kotarbiński i Sliwicki).



Zarejestrowuję ten fakt bez bólu serca, ale też i bez uciechy. Myślę z zakątką mego, że ten cudacki i rozwyrzony Strauss jest jednak może mgławicą, z której kiedyś, z czasem, wyłoni się muzyk jaki ogromny i... spożytkuje to wszystko, co oto śmiały Strauss wykoncyrował, a odrzucając to, co przesadne i nie-estetyczne. To leca może pierwsze koty za płoty. Ta istna Apokalipsa mu-



Myszuga w roli Jontka w „Halce.” Fot. M. Pusch.

yczna może to niezręczne dźgnięcie pionierskiego kilofa, ubijającego nową jakąś drogę dla symfonicznej muzyki orkiestralnej?

Dusza muzyków urasta. Może tylko ich aspiracje muzyczno-filozoficzne? Owóż i potrzeba im jakiegoś ogromnego i skomplikowanego instrumentu. Strauss go właśnie urabia, tworzy. Nie wystarczy dziś żadnemu współczesnemu muzykowi szczupła orkiestra, która wystarczała ongi np. dla koncertów brandenburskich Bacha. Strauss wywalcza też obywatelstwo w muzyce dla nowych—dźwięków.

W każdym razie należy do tych, którzy wnoszą w dobytek nasz duchowy coś nowego. Myślę, że ten jego przymiot większą ma cenę, niż jego zdolności... humorysty i karykaturzysty. Na postęp i rozwój sztuki najczęściej składają się właśnie tacy Straussowie, nie zaś najdoskonalsi *wykonawcy* stylowych kompozycji choćby największych mistrzów dawnych.

Do wirtuozostwa odtwórczego nie mam osobliwego nabożeństwa. Zdaje mi się zawsze, że *każdy* wirtuoz, występujący publicznie, *powinien* bez zarzutu wykonywać dany utwór muzyczny. Jeśli go „indywidualizuje”, źle jest, a nie dobrze. To wada, nie zaś zaleta.

Słuchaliśmy tymi dniami wybornej wirtuozowskiej gry na skrzypcach Pawła Kochańskiego. Cóż da się o niej powiedzieć? To, że gra Kochańskiego stoi na wysokości koncertu Brahmsa, Fantazji szkockiej Brucha etc. etc., lecz że Kochańskiemu brakuje wystarczającej siły tonu w tych momentach, kiedy użyć go należy. Ton atoli nie da się wyrobić. Trzeba go posiadać z przyrodzenia, lub... nie grać kompozycji muzycznych, wymagających gry o silnym, szerokim tonie.

Koncertu Kochańskiego gdy Barcewicz słucha:  
— Słone ceny!—mój sąsiad szepcze mi do ucha—  
Lecz jeszczebym dołożył, nie sarkając wcale,  
By Kochański siadł w krzesłach, a... *on* grzmiał  
na salę!

Tedy drugim wybitnym „ewenementem” muzycznym dwóch ubiegłych tygodni nie był występ Kochańskiego, lecz było wykonanie—niestety, koncertowe tylko, na estradzie—całego wspaniałego aktu drugiego „Tristana i Izoldy”, przyczem miłośnicy jubileuszów wszelakich nie omieszkali przy-

pomnieć, że ów akt nadzwyczajny skomponowany został lat temu akurat pięćdziesiąt.

Partię Izoldy śpiewała nam świetna „wagnerzystka”, p. Felicya Kaszowska; dlaczego jednak śpiewano „Tristana”—po francusku, nikt nie mógł zrozumieć, ni przedtem, ni potem. Tekst oryginalny tak ściśle złączony z muzyką u Wagnera, że żadne względy nie mogą usprawiedliwić przekładu, zwłaszcza, gdy się traktuje Wagnera tak poważnie i głęboko, jak to uczyniono na symfonicznym koncercie w Filharmonii pod znakomitą dyrekcją Fitelberga.

Współcześnie—zadebiutowała bardzo pomyślnie impreza operowa stowarzyszonych artystów.

Milcząca scena Wielkiego Teatru ożyła. Rozpoczęto sezon operowy „Halką” z niepospolitym Jontkiem. Był nim... Myszuga. Tak, Myszuga, nasz niezrównany tenor liryczny o aksamitnym głosie, a tak porywający, tak pełen uczucia i... świeżości, — jak za najlepszych czasów. Wielka tedy była uciecha i klaskanie olbrzymie; posypały się wieńce i kwiaty, a wieńce te i kwiaty mogły symbolizować nastrój publiczności naszej dla całej imprezy operowej wogóle, nastrój wielce—serdeczny.

Spodobała się Warszawie fantazja i energia artystycznej drużyny. Na operę idzie publiczność ochoczo, a doskonale usposobiona. I oddać trzeba sprawiedliwość naszej dyrekcji, że stara się sumiennie dać nam operę w możliwie dobrym gatunku. To, co zaprezentowano nam dotychczas, zasługuje na żywe uznanie. Czuć, że wzięto się do dzieła z wielką pracowitością i ujmującym zapałem. Występujący obecnie wśród miejscowego zespołu artystycznego: pani Kamilla Ixio (sopran) i pan Ventura (tenor) sprawili (np. w „Tosce”) najzupełniej dodatnie wrażenie.

Charakter opery naszej obecnej zarysował się już wyraźnie. Powiedziałbym w najkrótszych słowach: cechuje ją młodość, zapał, oraz pietyzm dla sztuki.

I to akurat w chwili, kiedy jakby staruszkowa jakaś zgorzkniała zgryźliwość zazgrzytała ze sceny Rozmaitości w „Krytykach” starego Chęcińskiego, rzuconych przed laty w twarz współczesnym recenzentom-zoilom, a wznowionych obecnie... powiedzmy: w charakterze klasycznego już zabytku naszej literatury dramatycznej.

„Krytycy” Chęcińskiego z roku 1875 nie są bynajmniej komedią pierwszej klasy. To krotchwila, zaprawiona parodującą satyrą i zacięciem pamfletowem. Ale szczerze zabawna, miejscami dowcipna, o fakturze staroświeckiej, ale dobrej, pisana giętkim, nie byle jakim wierszem. Tendencja zacna: gromiąca—nie bez silnej przesady—głupotę krytyki niekompetentnej i nieuczciwej krytyki stronnej. Talent autora „Szlachectwa duszy” widnieje i w „Krytykach”. Obraz atoli karykaturalny nie wywiera zamierzonego wrażenia; ucieszna krotchwila nie działa tragicznie. Śmiejemy się—i basta. A Chęciński chciał, abyśmy wychodzili z teatru... oburzeni, klnąc, na czem świat stoi, recenzentów zawodowych i uznając... publiczność za jedynego nieomylnego i sprawiedliwego sędziego np. dla gry aktorskiej!

Lecz ową krotchwilę staroświecką wystawiono z rozbrajającą pomysłowością, w interpretacji znakomitej, w oprawie „stylowej”, przeniósłszy ją w lata 1860—1865. Błahostka nabrała jakby uroku i ceny—antyku. Zagrano rzecz *con amore* i *con brio*.

CZ. JANKOWSKI.

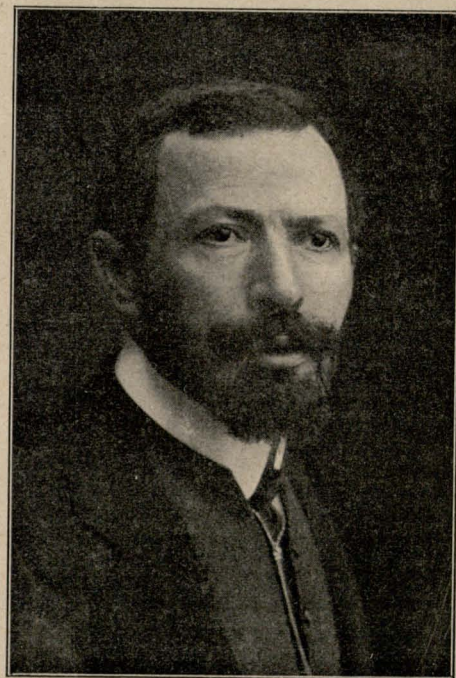
## Leopold Pilichowski.

Ciekawy pokaz artystyczny przedstawiło nam Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych, występując z wystawą prac Leopolda Pilichowskiego, umieszczoną, wraz z seryą nowych obrazów Stanisława Masłowskiego, w jednej z bocznych sal naszego pałacu sztuki. Jest to artysta nie tylko z Bożej łaski, ale i z wykształcenia gruntownego, w Monachium i w Paryżu, które pozwoliło mu osiąść wszystkie arkana sztuki. W sile wieku będący, 40-letni artysta (urodził się w r. 1869 we wsi Pile w pow. sieradzkim) wystąpił przed publicznością

z szeregiem płócien, w których dał się poznać, jako twórca doskonale świadom wszystkich środków artystycznych.

To wyszkolenie artysty uchroniło go od przyłączenia się do jakiegokolwiek kotery, hołdującej tym lub innym zmiennym prądom lub modom w dziedzinie malarstwa. Pilichowski nie jest człowiekiem kliki, lecz zawsze jest samym sobą. „Pan Pilichowski—pisze w *Kuryerze Warszawskim* wytrawny krytyk, Tadeusz Jaroszyński—nie przystał jednostronnie do żadnej kapliczki, nie przyjął jakich wyłącznych metod i manier, będących chwilowo w modzie, ale od mistrzów europejskich bierze to wszystko, co dla rozwoju sztuki swojej indywidualnej uważa za stosowne. Stąd w pracach jego niema jednostajności jakiegoś ciasnego kierunku, ale owszem, panuje tu interesująca różnorodność zarówno pod względem techniki samego malowania, jako też pod względem malarskiego ujęcia natury”.

Pilichowski jest malarzem ludu żydowskiego. Przenika go zwłaszcza do głębi serca niedola tego narodu tułaczów, Ahaswera ludzkości, tragizm smutnych losów dzieci Izraela. To też w obrazach jego, przedstawiających sceny z powszedniego bytu Żydów, tkwi tyle sentymentu, tyle ech rozpaczliwych



Leopold Pilichowski.

nej liryki starożytnych Hebreów. Rozgniewał się Jehowa na dzieci swoje—i próżno przebłagać go chce wzniesiona ku niebu prawica. Taki motyw znajdujemy w zamieszczonym w Nrze niniejszym w reprodukcji obrazie, zatytułowanym: „Modlitwa”. Na innym znów płótnie: „Po drodze” daje artysta wyraz malarski nędzy bezdomnej, tułactwa ludu żydowskiego, a czyni to w sposób wymowny i pod względem techniki doskonały.

Ale jest i wiele innych płócien Pilichowskiego w tej sali. Są portrety, studia, są i większe kompozycje, z pośród których wyróżnia się obraz wielkich rozmiarów, p. t. „Czas radości”, przedstawiający grupę Żydów w bóżnicy z palmami w rękach, w jednej z przelotnych chwil weselnego upojenia, w święto Szałasów. Dobra jest także figura Żyda, schyłego nad Talmudem, p. t. „W wolnych chwilach”.

O zamierzonej w tejże sali wystawie prac Masłowskiego pomówimy w następnym numerze *Tygodnika*. □

**Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na kwartał czwarty roku bieżącego.**



## Trybun ludu warszawskiego w dni listopadowe.

Jeden z najdziwniejszych ludzi swego pokolenia, autor „Literatury polskiej w w. XIX” i „Powstania narodu polskiego”, świetny stylistą, kto wie, czy nie najprzedniejszy prozaik polski ubiegłego stulecia, obdarzony umysłem niepospolicie głębokim i bystrym, a zarazem olbrzymim talentem krasomówczym, Maurycy Mochnacki nie miał u nas jeszcze swego Homera.

Nie znalazł go również i Mochnacki—polityk, zagorzały konspirator, jeden z minerów podziemi spiskowych, kto wie, czy nie ten, który ostatni z lochów wyszedł, lont podpaliwszy, a potem, w pierwsze dni po wybuchu, trybun ludu warszawskiego, na którego zmaconych, groźnie bełkających falach wznosił się, wczoraj nieznany młodzieniec, dziś ulubieniec ulicy i wódz klubu patriotycznego, jutro może dyktator... niedoszły, bo upadł rychlej jeszcze, niż się wywyższył...

I nieznany pozostaje szerszej publiczności Mochnacki—publicysta, jeden z najwybitniejszych, jakich Polska miała, autor dziesiątków artykułów, ogniem, krwią i złością pisanych, zarówno przed wybuchem rewolucji, od czasu sądu sejmowego (1828), jak i podczas pamiętnych dni insurekcyjnych, a wreszcie i na emigracji.

Tę lukę postanowił wypełnić p. Artur Śliwiński, autor wydanej przed dwoma laty monografii „Mickiewicz, jako polityk”—i w 75-tą rocznicę zgonu „wielkiego estety i krytyka, niezrównanego stylisty, dzielnego agitatora, żołnierza, nieustraszonego trybuna ludu, znakomitego historyka, pierwszego pomiędzy pierwszymi publicysty”, zapragnął przypomnieć ogółowi tę postać niezwykłą.

Zamiar—ze wszech miar chwalebny.

I przyznać należy, że w monografii swej\*) p. Śliwiński pokonał wiele trudności. Nie pokonał wszystkich.

Przedewszystkiem bowiem—jakże trudno pisać o działaczu politycznym tak namiętnym i—zgodnie ze szczytną zasadą Tacyta: *sine ira et studio*—zaprzecić się siebie samego. A chociaż p. Śliwiński składa na wielu kartach dowody wysokiej bezstronności, czasem owo tacytowskie *studium* ozwie się przykrym rozdzwiewkiem.

A potem—jakąż nieprzepartą trudność stanowi ujęcie w ścisłą i logiczną całość rozbieżnych rysów tego człowieka, który składał się z samych sprzeczności, który zdolny był do najszczytniejszych poświęceń, a zarazem i czynów małodusznych i nędznych, który dziś odwoływał to, co głośnił onegdaj, a za dwa lata będzie szydził z własnych swoich wzniosłych uniesień i rzuci kamieniem pogardy w *sacrosanctum* niedawnych jeszcze swych wiar młodzieńczych.

Pierwsze zaraz kroki Mochnackiego w robotach konspiracyjnych są już groźną skałą dla rozwijającego zaledwie zagle obiektywizmu historyka. Należąc do akademickiej organizacji „Wolnych Braci Polaków”, nieostrożnie zdradził się z tem przed rodziną, wymienił kilka nazwisk młodych konspiratorów, za co przez nich zaocznie na śmierć skazany; uwięziony potem w celi karmelitów, nie tylko że zeznaniami ciężko obarczył wielu towarzyszy sprzysiężenia, ale i sporządził własnoręcznie memoriał, gdzie, jako źródło zarazy rewolucyjnej, wskazywał uniwersytet i pisma wolnościowe, które szerzą „zasady antyrządowe, antymonarchiczne”; wreszcie, uzyskawszy, za tak krwawą cenę, wolność, nie oparł się pokusie i, za namową swych instygatorów, wstąpił na służbę do biura cenzury, jako podwładny osławionego Szaniawskiego. Te czyny przyszłego trybuna ludu sądzi p. Śliwiński spokojnie, beznamiętnie: „wrażliwy z natury, niespokojny, pieszczony przez egzaltowaną matkę... nie umiał milczeć, jak grób” (str. 17); „pieszczony całe życie przez matkę, przyzwyczajony do wygod i ciepła rodzinnego... nie był stworzony na bohatera więziennego, a sam walcząc ze sobą, nie wytrzymał szturmów komisji śledczej”

\*) Artur Śliwiński: Maurycy Mochnacki, żywot i dzieła, Lwów, nakładem księgarni polskiej B. Połonieckiego 1910 r.

(str. 22—23). A zresztą, „w głębi duszy sam siebie osądził”, a „swój straszny błąd młodości” odkupił później „bezgranicznym poświęceniem” (str. 27).

Przychodzi kolej na spisek podchorążych. Nawiasem mówiąc, spotykamy tu świetne charakterystyki takich oczajduszów rewolucyjnych, jak J. B. Ostrowski (osławiony Ibus, późniejszy szpieg i zdrajca), ks. Puławski, Adam Gurowski, Jan Czyński). Ale tutaj budzą wątpliwość superlatywy p. Śliwińskiego: Mochnacki „jeden miał w sobie moc i niewątpliwie czuł się zdolnym do objęcia władzy” (str. 128); „wśród młodego pokolenia on jeden czuł się na siłach podnieść władzę” (str. 130); „jego wola zaczęła się prężyć i z każdą sekundą rozrastać” (str. 139). Nie demonstrował nam bowiem autor procesu duchowego, który z pieszczocha rodziny i wygodniśnią, co przed pięciu laty dał dowód zadziwiającej słabości charakteru, przeobraził w stalowego męża czynu.

Ale oto nadchodzi chwila działania. W świetnym pod względem stylu i techniki dziejopisar-skiej rozdziale „Walka z Lubeckim” p. Śliwiński roztacza przed nami obraz tych dni zamętu, jakie nastąpiły bezpośrednio po wybuchu listopadowym. Wśród scen jaskrawych i pełnych zgiełku, wśród zmieniających się co godzina nastrojów ulicznych, dwaj ludzie wypłynęli nad głowy tłumy i starli się w boju zażartym: Lubecki i Mochnacki, legitymizm i rewolucja, „wielka rozważa i wielkie doświadczenie” z jednej, „rozhukana namiętność i wrzący szal młodości” z drugiej strony, rea-



Portret M. Mochnackiego. Ze zbiorów ord. Krasieńskich.

lizm polityczny z „cyrklem, wagą i miarą” w rękę—i bujny romantyzm, mierzący „siły na zamiary”.

Zwarli się—i obaj upadli: „władza leżała na bruku Warszawy”, oni wydzielali ją sobie nawzajem—i żaden przy niej nie został. Chłopiński okrzyknięty dyktatorem.

Mochnacki przewidywał, że ta *ultima salus* nie zgotuje lepszej doli zmagającej się z przeciwnymi żywiołami rewolucji. Dlatego też z całą namiętnością uderzył w Chłopińskiego na tłumem zebraniu w klubie patriotycznym dnia 3 grudnia. „Nie ufajmy—wołał—imionom historycznym, nie ufajmy żadnej wziętości, żadnej zasłudze! Generał Chłopiński nie dopełnia swego obowiązku! Chłopiński zdradza rewolucję!”

Stawił czoło, jak mąż, straszliwej burzy gniewu ludowego. Znienawidzony, na śmierć skazany, niepewny życia, patrzący już niemal na wznoszone dlań szubienice, znalazł bezpieczną uchronę przed tłumem—w pokojach Lubeckiego.

Jakżeby postawa jego w te dni przedstworzone nowej władzy rewolucyjnej była dostojna i szczytna, gdyby nie był porwał za sobą, w celu ataku na bank i zamordowania Lubeckiego, podchorążych, których ledwo spotkany przypadkowo na ulicy Wysocki powstrzymał od tego okrutnego aktu zemsty, gdyby wreszcie nie wydał w dniu 5 grudnia odezwy do młodzieży, gdzie skwapliwie odwołał wszystko, co w ciągu dni ostatnich o Chłopińskim, Czartoryskim i Rządzie Tymczasowym napisał był lub powiedział! Nazywa tu nasz trybun Chłopińskiego „dostojnym mężem, doświadczonym wodzem, kochanym w narodzie bohaterem”, o Rządzie mówi, że zdoła go „wspomnienia i osoby historyczne”, co „budzi za-

ufanie w Polakach”, i woła: „Niech żyje generał Chłopiński! Niech żyje Rząd Tymczasowy!”

Oto zdumiewające sprzeczności, których nie wytłómaczyć nawet—instynktem samozachowawczym. I p. Śliwiński nie zdobył się na rozwikłanie tej zagadki. Bo choć na str. 183 i 184 surowo sądzi pogromcę Lubeckiego, nazywa jego obronę „mizerną” i „niegodną trybuna rewolucji”, wyrzeka na „małoduszny kompromis”, a o Mochnackim powiada, że, „spadłszy ze szczytów powodzenia, nie umiał się zachować na nizinach zawodów i rozczarowań, wielki jako tryumfator, nieporównany w walce, był bardzo pospolitym w upadku”, to jednak już na str. 288 woła z emfazą, że Mochnacki w ciągu tych kilku dni „wykazał odwagę lwa” i „runął, jak kolos”.

Co więcej, gdy przyjdzie do ogólnej charakterystyki autora „Literatury polskiej w w. XIX”, jako działacza politycznego, p. Śliwiński daje się unosić frazesom płytkim, a pozostającym w jawnej sprzeczności z jego własnymi definicjami w poprzednich rozdziałach. „Niepokonany, niewzruszony—pisze na str. 239—brnął przez rozrukane morze przeciwności i szedł do swego celu, zawzięty i uparty, jak żywioł”. I dalej sypie racami określeń w rodzaju „mocarnych ramion”, „beprzykładnego hartu”, „tragicznej mocy”, „piersi, przemienionych w granit, a serca—w spiż”, duszy „płonącej jasno, jak pochodnia”, „najwyższego stopnia szlachetności i piękna”...

I zapytujemy sami siebie ze zdumieniem, gdzie współmierność tych bałwochwalczych panegiryków z atakiem na bank, z „odwołaniem fałszywych pogłosek”? P. Śliwiński daje na to bezwiednie cisnące się na usta pytanie odpowiedź—bardzo lichą: Mochnacki, gdy pisał to „odwołanie”, „przestawał niewątpliwie być sobą”.

Niebezpieczny to, godny nie historyka, lecz obrońcy sądowego argument.

A gdybyż go użyć w obronie Ostrowskich, Gurowskich, Szlejew, Makrotów, Birnbaumów, Roźnieckich i wszelkiej innej kanalii?

Gdzież więc klucz do zagadki, jaką była dusza tego dziwnego człowieka? Zdaje nam się przez chwilę, że już—już p. Śliwiński dał go nam w ręce, gdy na str. 176 powiada, iż „cierpiąca bez miary ambicya rozpałała w twórcy klubu energię i rozżarzała ją w pożar nienawiści”. Ale niebawem wydiera nam ten klucz, gdy woła, że Mochnacki miał ambicyę, nie tę, co „rodzi się na tle osobistych marzeń i pożądań”, lecz „ambicyę za całe pokolenie”, „skąpaną w morzu krwawych łez, przesyconą bólem całego pokolenia” (str. 240).

Taką ambicyę—dodaje—miał Reytan, Kiliński, Mickiewicz...

Na to niema zgody! Bo, mimo całego podziwu, jaki mamy dla wielkiego talentu Mochnackiego, protestujemy przeciw takiemu zestawieniu nazwisk. Wszak wielki talent i wielki charakter to nie jedno...

Z równą plastyką odtwarza p. Śliwiński dalsze koleje burzliwego życia trybuna rewolucji, podczas wojny (przepyszny obraz szturm do Warszawy) i na emigracji, kiedy poglądy jego uległy gruntownej przebudowie, kiedy potępił i poezję rewolucyjną, i „śmieszne” sekty literackie, i ubóstwianego niegdys Schellinga, kiedy, podnosząc zasługi umiarkowanej konstytucji trzeciego maja, stał się niejako zwolennikiem spokojnej ewolucji społecznej, kiedy sam siebie zaczął nazywać „stronikiem absolutyzmu”, a w obronie Czartoryskiego nie wahał się rzucić kamieniem paszkwila w zaśluzonego, bądź co bądź, Dwernickiego.

Ta ostatnia faza procesu duchowego autora „Powstania” znana jest powszechnie ze zjadliwej strofy w Beniowskim o „republiki jedynaku synu”, co „po drodze wstąpił do arystokracji i w tem bez ognia piekło bawił trzy dni”...

Do p. Śliwińskiego można zastosować jego własne słowa: „zbyt głęboko czuł, aby się zdobyć na obiektywizm”: zbyt gorąco kocha on Mochnackiego, by spojrzeć na niego z całym zaparciem się siebie.

Więcej umiarkowania i obiektywizmu, a p. Śliwiński, przy swoim talencie pisarskim, niejednym jeszcze dziełem może ozdobić naukę historyczną polską.





On ją chwycił ostrożnie,  
przytulił oburącz i niósł.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

# UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzega się prawo przedruku. 46)

XXXI.

Szybko dni upływają młodym we dwoje, gdy świat ich cały jest do urzędzenia, a moce wszystkie w nich wartkie, a słońce kochania nie zachodzi—szybko jedzie szczęście. Nie ma dla nich złej pory roku, niema przeszkód ciężkich i nienawistnych: w mrozie widzą tylko okazję przytulenia się do siebie, w trudnościach losu—rozkosz pewnego zwycięstwa.

Państwo Kazimierzowie zaraz po ślubie pojechali do Auszry, do drewnianego domku dzierżawcy, urządzonego pośpiesznie na ich mieszkanie, i przekonali się, że nigdzie na świecie nie mogłoby im być lepiej. Przebyli tam cały luty, marzec, kwiecień...

Już maj! Już wody spłynęły niewiadomo gdzie i kiedy, zazieleniała ruń, zgęstniała puszcza nowym, ciepłym cieniem. Kraina obudziła się odrazu, wyspana i świeża, stroiła się pośpiesznie, poskoczyła raźnie ku swoim robotom i uciechom. Pierwszy drozd zagwizdał przenikliwie na chwałę nowej wiosny.

W maleńkim, dorobkowym domku pod puszcza auszrańską nie snuło się przez koniec zimy sielanki na wzór „szczęścia w chat-

ce”. Nie było tam leniwych gawęd przy porannej kawie, ani nawet czytania wierszy. Piękność zespołu dwóch istot, wybornie dobranych ubierała poezją żywą wszystkie ich dni wspólne, gorąco pracowite. Młoda krew, najsilniejszy motor świata, ładowała siłę, niby w akumulatory, które niebawem miały być użyte do wielkich robót.

Widziano ich zawsze razem, często na dworze pod bylejaką pogodą, w lesie, w krótkich podróżach. Mówili jedni o nich, że kochają się, jak żołnierz i markietanka, drudzy, że „dziwaczą się”. Jedną mieli cechę wspólną z zakochanymi wszystkich czasów, że nie szukali obcego towarzystwa.

Mnóstwo projektów realnych żywiło ich nieustanne porozumienie; niektóre z tych projektów już były narysowane na papierze, a nawet na gruncie. Przez zimę pracowały w puszczy topory ciesielskie nad wyrobem belek, zwożono saniami materiał budowlany na miejsce obrane, gdzie stanąć miała nowa Auszra, osada wspaniała. Przeznaczono na wyrąb spory kawał puszczy, przyległy do folwarczku, mniej piękny. Za dwa, trzy lata pagórki te, dzisiaj leśne, pokryją się bujnym zbożem na nowinach. Gdy ustępowała zima

i ciężkie skorupy śnieżne rozplływały się strumieniami przez coraz śmielszą zieleń wąwozów, żałowano niemal, że idzie wiosna, że nie da już w tym roku wyczerpać wszystkich zadań, zakreślonych na zimową porę.

Ale, gdy przyszła królewska Pani do Auszry i stanęła w kwiatkach, w wonnym wietrze i w nowem drzeniu eteru między puszcza a rozłogami pól, Kazimierz i Krystyna uczuli dopiero pełnię tchnienia, i radość każdego kroku po ziemi odnowionej, i udział swój konieczny w wielkiej miłości wszechświata, czyniącej swe nieśmiertelne dziwy.

Cieszyła się cała ziemia weselnymi głosy. Czajki pokrzykiwały z podziwu nad umajoną łąką, z uciechy przewracając w powietrzu koziółki. Tokowały napuszone cietrzewie na rzadkim lesie, ciągnęły chrapliwe słonki przez mokre polany podczas lubieżnych godzin walki dnia z nocą. Zwierz włochaty większy i mniejszy niepokoił się po puszczy, stęskniony i wychudły od przemożnego instynktu poszukiwania sobie pary. Parzyły się wielkie twory leśne i drobne zuczki w trawie, mieszkańcy wód, rośliny i wszystko, co chciało żyć. Jednak nie tylko



ten instynkt gnał je ku sobie. Bogini wiosny zamieszkała w kraju i rozpoetyzowała całe stworzenie. Leśnicy, nocujący w puszczy, spotykali wilki, niepamiętne żeru, ani miłosnych harców, wyjące z tęsknoty do księżycy. Widzieli łosie, jak nieruchome stały długo na miejscu, z oczyma łzawymi od marzeń wiosennych. Skowronki nie sobie śpiewały, lecz słońcu; jaskółki bez innego celu śmigły w kręgi ponad wodami, jak tylko aby tańcem obchodzić święto wiosny.

Zakochanym mijał maj szybciej jeszcze, niż poprzednie miesiące; rozkosz majowa porывała ich do pracy, jak do pocałunku, i niosła lotnie przez czas nie mierzony, lity skarbami młodej miłości. Gdyby słabsi byli, płakaliby z rozkoszy.

Stoją na wzgórzu, oddalonym o trzysta kroków od folwarczku. Tu, pod palącym już słońcem, wyrasta z ziemi ich nowa siedziba. Nieużyteczny dotąd gaj na wzgórzu staje się odrazu parkiem; niżej przepływa ruczaj, idący z lasu, szumny teraz, obficie podsycany z ciemnego kruza jeziora „pod Sidorkiewiczem”, zbierającego wody puszczy. Samego jeziora stąd nie widać, ale piętrzy się w dalekiej perspektywie zielony amfiteatr pośród zamykającej widnokrąg puszczy. Tam był początek ich wspólnej myśli, tam podszeptęła im nimfa pierwsze ich na kraj ten zamiary, stamtąd nad Auszrą powstaje codzień słońce.

Na łagodnym stoku wzgórza wre robota mularska; woń wapna, ociosanego drzewa i wyrzuconej ziemi miesza się z zapachem otaczających drzew majowych. Powstają bowiem naraz trzy budynki: dwór, dom dla pracowników rolnych i szkoła wiejska. W następstwie będzie tu mnóstwo murów i drewnianych zrębów; tymczasem wiechy, wytykające węgły i drogi, składają niby wojsko około przyszłej osady, malowanej wyobraźnią na błękitach.

Kazimierz ma ręce uwalane w różowym pyłe, snadź przykładał je dopiero co do roboty przy węgle domu, który krwawym zębem wyrznął się już z ziemi, podczas gdy szwadron mularzy zaledwie do połowy ciał z niej się wynurza, cicho podzwaniając kielniami po cegle, chlapiąc szarem wapnem. Po szczeblowanych pomostach drepną bose stopy dziewczek, jednobarwne z murem, ciężko przylegające pod brzemieniem noszonych cegieł i pełnych szaflików. Mur mlaszcze z ukontentowania, że wyziera na piękny świat Boży.

Krystyna w szarej sukience, w małym słomianym kapeluszu, chce wejść na osychający, najwyższy wzniesiony węgiel, aby zobaczyć, co już z niego widać po okolicy. Kazimierz podaje jej rękę z niezwykle bojaźliwą troskliwością, jakby nie dowierzał, czy noga jej, zgrabna, jak sarny, nie chybi kroku po ceglach. I ona przyjmuje bez urazy ramię jego pewne i kochane. Patrzy—o! widać już dużo! To będzie ściana tego najnowszego... dziecinnego pokoju. A Kazimierz patrzy tylko na Krystynę, na świat swój dzisiejszy i przyszły, w jej oczach odbity.

Parno dzisiaj, jak w lecie. Jaskółki śmigają nisko ponad łąką; przeleciało ich kilka nad budującym się wzgórzem, tuż przed oczy-

ma młodych władców, aby zajrzeć im w oczy błyskawicznie i zapytać: „Będzie tu dla nas miejsce na gniazda?”—i spadły pędem w niziny. Szybka chmura ogarnia niebo od zachodu, plamiąc ciemnymi zaciekami bielsze chmurki, zgromadzone na szczycie sklepienia. Słońce leży jeszcze na wzgórzu, ale już gąśnie pod nadciągającą przesłoną, która idzie po niebie skłębionym dymem, a po ziemi lekkim, przezroczystym cieniem. Ówdzie, przedarłszy się przez oponę chmury, słońce jeszcze oświetla daleką połąć kraju, wyjętą z okólnego pomroku, ale sennie, przez mgłę z ukośnych nici uprzedzoną.

— Przyjdzie tu deszcz, czy przeminie bokiem?

— Burza idzie, panoczku—rzekł starszy mularz, odkładając kielnię i ocierając fartuchem uwapnione ręce.

Z nieba padł znak, że mularz ma słuszność. Blask obcy, nieprzyjazny światłości dziennej, zaniepokoił mgnieniem oczy wróżących o pogodzie. Po długiej chwili pomruk, z łona chmury poczęty, przeleciał nad wzgórzem, wpadł w puszczy, rozhukał się po niej, powrócił na wzgórze kilkakrotnie, nappełnił powietrze grzmiącym śmiechem.

— Co za echo!—rzekła Krystyna, stojąc ciągle na murze.

Jak toasty pośród uczty, powtarzały się po cichych błyskawicach grzmoty aprobacyjne młodej ziemi. Wonie przywiało mocne od łąk i pól, bo już Poświst, burzy poprzednik skoronogi, mknął rozwichrzony, wstrząsając tyrsy zielone, podnosząc pył na drogach, przychyłając korne czoła traw, marszcząc poważne oblicza wód. Pojedyncza wielka kropla, wyprzedzająca ulewę, rozprysła się głośno na cegle pod nogami Krystyny.

— Trzeba wracać!—zawołał Kazimierz, wyciągając do niej ręce.

Patrzyła jeszcze przed siebie, przejęta czarem nadciągającego żywiołu, w nozdrza chwytając wiatr pachnący, ale posłuszne wyciągnęła ramiona do Kazimierza, nachyliła się do niego całą postacią ze swego piedestału.

On ją chwycił ostrożnie, przytulił oburącz i niósł.

Niósł ją tak po drodze pochyłej ze wzgórza, bacząc pilnie na grunt, gdzie stawał swe stalowe nogi. Stapał śpiesznie i pewnie, unosząc pod dach bezpieczny radość i przyszłość swej krwi, połowę swej duszy. Nie puścił z objęć drogiego brzemienia na drodze już równej, zdwoił jeszcze kroku, sunął elastycznie, podwyższony o głowę jej, która spoczęła, ufna i płonąca, na jego głowie. Gdy dopadł do chaty, ulewa zadzwoniła we drzwi i okna zamknięte.

Pośród takich rojeń i przygód budowali państwo Kazimierzowie Rokszyccy swój nowy dom na Litwie.

K O N I E C.



MARYA RODZIEWICZÓWNA:

## STARZEC.

1)

— Bywajcie zdrowi!

Nikt nie odpowiedział. Młynarz pykał fajkę pod piecem, młynarka szyla przy lampce, troje dzieci popatrzało na mówiącego, szturgnęły się łokciami, i złe uśmiechy przeleciały im po ustach; starsi mieli twarze zacięte, zimne; udawali, że nie słyszą.

Objął to wzrokiem Antoni Żórawel i wyszedł z chaty na podwórze. Dzień był jesienny, chmurny i słotny, krajobraz płaski i pusty. Ze wzgórzka, na którym wiatrak stał, widać było wielką wieś o staję, szeroki gościniec piaszczysty i bór na widnokregu. Pola były szare, głuche; po rżyskach zdeptanych wałęsały się gęsi, lub zapadały, kracząc, chmary wron: od wsi z wiatrem zalatywał dym i przeciągłe, smętne porykiwanie bydła.

Antoni długą chwilę zgastemi oczami wodził wkoło, wreszcie zdecydowany ostatecznie wziął kij z drwalni, odmotął kawał sznura od śmigi wiatraka, podpasął się nim i ruszył na drogę. Szedł bardzo wolno i utykał na lewą nogę: odzież jego szarą i nędzną czuć było stęchlizną i karbolem, pamiątka szpitala, z którego niedawno wrócił; barwę twarzy miał jakby zaśnieżoną, rysy tępe, oczy jasno-siwe, o wejrzeniu nieśmiałym i jakby wylękłym, wiek trudno było określić. Był jak miedziana moneta, prędko starta użyciem. Może miał trzydzieści lat, a może czterdzieści kilka.

Szedł i szedł, ścieżką pobok gościńca, zamyślony, patrząc pod nogi.

Napędził go wóz z workami. Chłop szedł w piachu, żeby ulżyć koniowi.

— To ty, Antoni? Nie poznałem zdale. Myślę, jakiś cudzy włóczęga. Toś już ze szpitala wrócił?

— A onegdaj.

— Nowiny we młynie zastałeś—zaśmiał się chłop.

— Aha! Kobiecie bez mężczyzny nijak żyć.

— Teraz sobie tęgiego dobrała. Nie bardzo się tobą ucieszyli—na zimę.

— No, wiadomo. Robić nie mogli! Do czego się wezmę, to za chwilę z rąk leci, a w oczach świat się kręci. Musiałbym leżeć i żreć tylko z miesiąc. Nie można tak, rozumie się.

— To co myślisz robić. Starcować idziesz?

— Niedaleko zawędruję. Noga przecie krzywo się zrosła i do chodzenia się nie zdała.

— No, to chyba nie przebędziesz zimy.

— Pewnie, że nie.

— Młynarka powinna ci była zapłacić. Tyle lat przebyłeś.

— A kiedy słowa nie rzekła.

— Głupiś! Albo jest taki, coby z dobrej woli dał? Na sąd podaj.

— Nie chce się. Tyle lat karmiła, opierała, oszywała. Wstydno mi.

— A toć za jej pierwszego w ostrogu odsiedziałeś. Dała ci co za to?

— Nie. Mało strachu było i kosztu, a także nieborak zmarł, a w tej bitwie tom też tłuł.

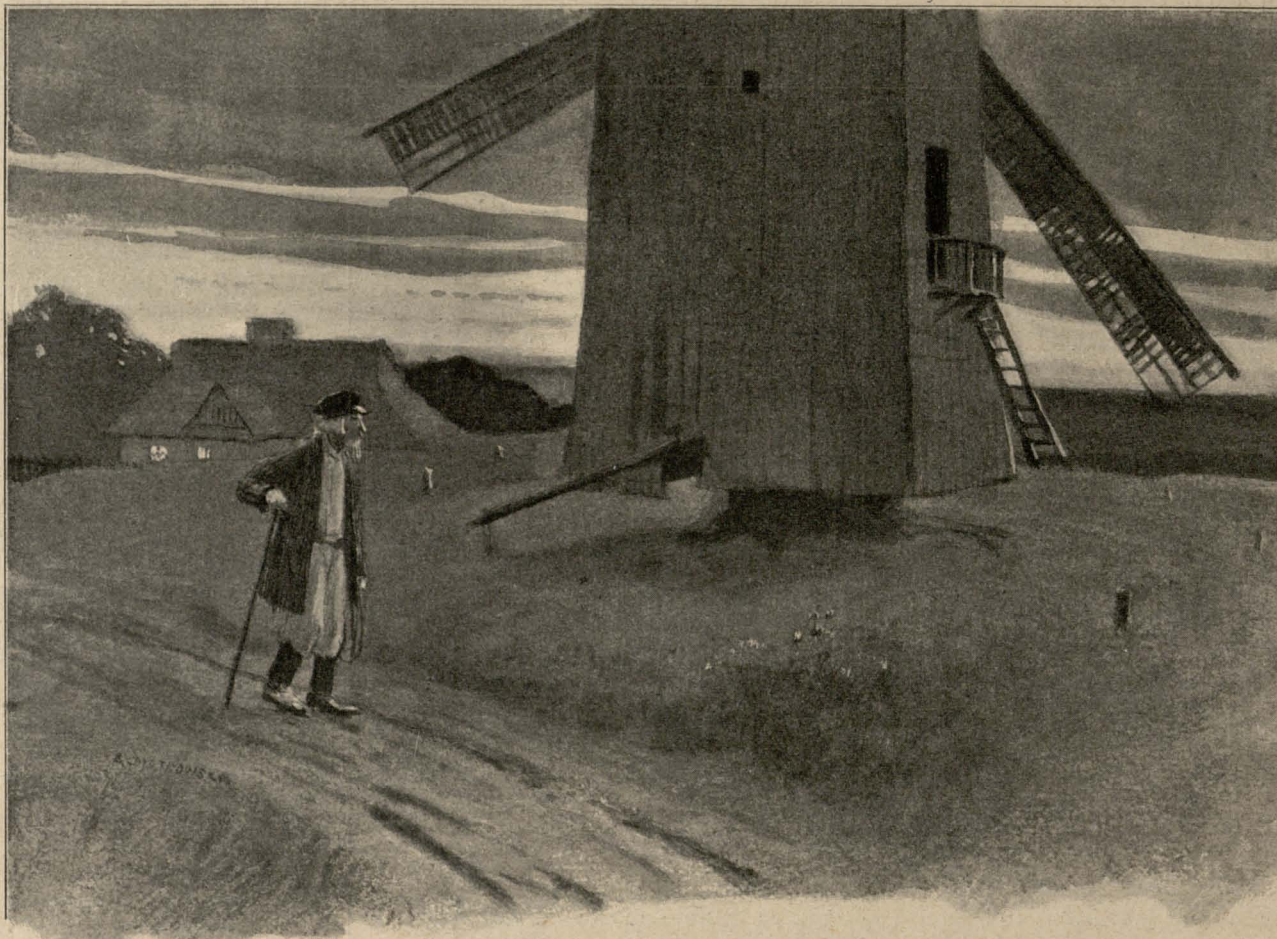
— Ale zagon przecie oni utrzymali.

— Jużci, bo ichny był.

— No, jak ci oni takie dobrodzieje, to ci nie bieda.

Piasek się skończył, więc chłop na furę siadł i ruszył żywiej, i na pustej drodze





Antoni długą chwilę zgasłymi oczami wodził wokół.

ANTONI PIOTROWSKI

został tylko wolno idący, bezduszny, chory człek. Czasami od ziemi odrywał oczy, patrzył na niebo, zachód był blisko, patrzył ku borom—były dalekie. I znowu szedł, kijem sobie pomagając, i wsiąkał w szarość pól, chmur, mgieł i pustki, aż zniknął w mrokach.

Gdy doszedł lasu, był już zupełny zmierzch. Tedy skręcił z drogi między drzewa, oczy podniósł i począł konary oglądać. Bór piękny był, sosny gładkie i smigłe, pod nogami miękkie mchy, w górze widać gdzieś jęszcze było jasność nieba.

Antoni czegoś szukał, pamiętał, że między tymi chojarami była olcha gruba i rosochata w nizince, gdzie jesienią, gdy pasał krowy, znajdował rydze. Po nocy trudno było trafić, ale, powąłęsawszy się tu i tam, znalazł przecie. Popatrzył na olchę, dotknął pnia i spróbował, czy wdrapie się do pierwszej gałęzi. Ale ramiona go nie utrzymały, spadł na ziemię. Znowu patrzył na rosochę, medytował, wreszcie rozwiązał sznur, którym był opasany, i próbował go przez rosochę przerzucić.

Ale i tego nie zdołał, usiadł więc pod drzewem i pomyślał: trzeba spocząć—nabiorę mocy. Nie miał w sobie żadnego wahania lub buntu, żadnego strachu, niepokoju, żalu, czy goryczy. Był do roboty niezdatny, nikomu nie potrzebny, więc poco tak żyć?

Tymczasem, gdy się tak skulił pod drzewem, odczuł jeszcze większe osłabienie i wyczerpanie.

Ogarnęła go cisza i odrętwienie, morzyła senność. Jakiś szum powolny, głuchy, szedł górą po borze i otrząsał z igieł krople wilgoci; zmęczonego ciągnęło do ziemi, ciemność uczyniła się tak gęsta, że ostatnią pamięcią pomyślał, że i rosochy nie dojrzy, by sznur zarzucić, i zasnął.

Ocknął się, jakby targnięty za ramię. Zdało mu się, że zasnął, pasąc konie, że go

budzi połowy stróż, że konie wpadły na koniczynę. Zerwał się i chwilę nie mógł oprzytomnieć. Gdzieś się podziały chmury i słońca. W borze było jasno, miesięcznie. Powoli Antoni wszystko przypomniał. Spojrzył ku górze, rosochę widać było wyraźnie, czekała. Ale siedział, zdrętwiały chłodem, przejęty wilgocią, patrząc w srebrny miesiąc.

Wreszcie wstał, sięgnął po sznur i cisnął go do góry. Trafił dobrze, węzeł zamotał, przycisnął, spróbował, począł robić pętlę. Nagle wzdrygnął się, krew mu uderzyła grozą w serce—usłyszał ludzki głos, tuż, o kilka kroków. Głos żalony, proszący.

— Ktoś tam jest! Poratuj!

— Kto woła? Gdzie?—wybełkotał.

— Tu jestem. Poratuj!

Tedy dostrzegł Antoni opodał, pod drzewem szarą postać i podszedł. Starzec siedział na ziemi, starzec, żebrak z sakwami, z kijem.

— Co ty tu robisz, dziadu? Poco wołasz?—spytał uspokojony.

— Zbłądziłem z drogi. Ślepy jestem!

— Ach, biednyż ty. Nie masz przewodnika?

— Nie, po drodze wszędy trafię. A jak zbłądę, Bóg kogo przyśle, jako ciebie teraz.

— A dokąd idziesz, na jaką drogę ciebie wyprowadzić?

— Do miasteczka muszę. Tam mnie w jednej chacie czekają.

— To chodźmy!

— Oj, synku! Odpocząć muszę. Upadłem parę razy, zmęczyłem się. Toć noc teraz?

— A noc.

— Zimno, deszcz przejął do kości. Żebyś się ulitował, ogienieczek rozniecił. Zejdziemy na porę, na dobrą.

Antoni usłuchał, nie rozważając, po co to robi. Tak całe życie czynił. Spełniał polecenia, komuś służył. Zebrał suchych liści i igli-

wia; dziad mu podał krzesiwo i hubkę, płomyk błysnął, podsycił go większymi gałęzmi i siadł obok dziada, który, pogrzebawszy w torbie, dał mu kawał chleba, cebulę i sam jeść począł.

Chwilę jedli w milczeniu, ciepło ognia sprawiło życie i spokój, i Antoni przemówił:

— Dziw, że was nie znam, dziadu. Nasz wiatrak przy gościńcu stoi, każdego przechodnia znam.

— Toś młynarz?

— Nie. Nieboszczka młynarka mnie znalazła raz w rowie, i wychowała. Nie zgłosił się po mnie nikt, a że to jesienią mnie rzucili, jak żórawie ciągną, Żurawlem mnie przewzawali i Antonim ochrztili, że to zguby patron.

— I takeś do młynarzów przystał?

— Aha! Dzieci nie mieli, dopiero potem urodziła się córka, ale przecie mnie nie odegnali. Hodowałem się. Pasałem gęsi, a potem niańczyłem Magdusię, potem do koni wioskowych za pastucha poszedłem, a potem, że młynarz zestarzał, tom i gospodarzę, i młyn utrzymywał. Za syna byłem, ale, żem przecie znajda cudzy był, to do wojska wzięli, jak lata przyszły.

Antoni umilkł, przyrzucił gałęzi do ognia, w żar się zapatrzył.

— A jakieś odstąpił, toś, jak żóraw, na stare miejsce wrócił?—rzekł dziad.

— A cóż! Myślałem: hodowali—do nich należą! Ale przez te lata wszystko się zmieniło. Nie zastałem starego młynarza, ale młodego, męża Magdusi. Stary zmarł, stara nie domagała, a roboty było huk. Przyjęli mnie, jak swego, nie szczędzili mi odzieży, ani ja dła i radzi byli, że siła przybyła. Ach, siłę ja miałem! Hej! Byłoby wszystko dobrze, ino że Kacper, mąż magdusin, w sprawę o zagon z krewniakiem się zadał, i tych kosztów było bez liku i czasu straty i złości. I ot raz do bitki doszło na tym zagonie.





GRUPA ZJAZDU PEDAGOGÓW WE LWOWIE. Fot. M. Münz.

## Kongres pedagogiczny.

Jednym z najpiękniejszych aktów, którymi uczczono we Lwowie setną rocznicę urodzin Słowackiego, było zwołanie na czas tych uroczystości pierwszego ogólnopolskiego kongresu pedagogicznego. Odbył się on w dniach 1 i 2 b. m., przy bardzo licznych udziałach najwybitniejszych działaczy oświatowych ze wszystkich ziem polskich. Plon ożywionych obrad plenarnych i sekcyjnych jest bardzo obfity. Dla sprawy oświatowej w Polsce przyniósł on pożytek niemały. Głównym zagadnieniem, około którego skupiały się wszystkie punkty programu obrad kongresu, była sprawa wychowania narodowego, oparcia go na jednolitych podstawach na całej przestrzeni ziem polskich, tudzież zjednoczenia wysiłków wszystkich polskich towarzystw oświatowych w celu pogłębienia oświaty ludowej. Główny ten cel, o ile chodzi o teoretyczne jego załatwienie, kongres osiągnął w zupełności. W szeregu referatów, wygłoszonych na plenarnych posiedzeniach w tej sprawie, omówiono ją bardzo gruntownie i wszechstronnie. Obok referatu dra Balickiego z Warszawy o podstawach wychowania narodowego, które autor chce oprzeć na systematycznym wpajaniu w dzieci uczuć patriotycznych i społecznych, wymieniamy jeszcze referat prof. Kulwiecia z Warszawy, który omawiał naukę geografii i historii kraju rodzinnego, jako bardzo ważnego czynnika w wychowaniu narodowym. Szczególniej ważny i pożyteczny był ten ustęp referatu, w którym występuje on przeciw rozpowszechnionemu u nas partykularyzmowi i prowincjonalizmowi, przejawiającym się przedewszystkiem w rażącej nieraz nieznamomości innych dzielnic polskich. Niezmiernie ważna dla oświaty sprawa podniesienia poziomu umysłowego samych nauczycieli znalazła wymowną rzeczniczkę w osobie p. Szycówny z Warszawy. Bardzo ciekawą i cenną myśl wypowiedziała i gruntownie umotywowała p. Radlińska z Krakowa, proponując utworzenie centralnego organu oświatowego, któryby miał za zadanie gromadzić cały dorobek polski na polu wychowania publicznego i szkolnictwa, z jednej strony zbierając wszystkie dane, do tych spraw się odnoszące, z drugiej zaś informując o nich nauczycielstwo całej Polski. Poziom obrad kongresu był bardzo wysoki, a ton ich poważny, żadnymi dysonansami nie zamącony. Szczególniejsze uznanie zdobyli sobie pracownicy oświatowi z Warszawy swoją gruntowną znajomością przedmiotu i dużą postępowością w jego traktowaniu.

## Wystawa pamiątek po Słowackim w Ossolineum.

Najwięcej pamiątek po Słowackim posiada Biblioteka Ossolińskich i złączone z nią Muzeum im. ks. Lubomirskich we Lwowie. Na cenny ten zbiór składają się, prócz wszystkich wydań pism poety, autografy, portrety rodzinne i pamiątki osobiste. Dobrze więc uczynił kustosz muzealny, dr. Br. Gubrynowicz, rzucając myśl urządzenia skromnej, lecz treściwą doborowej wystawy, któraby

obejmowała wszystko, co tylko zachowało się w spuściźnie po twórcy „Króla Ducha“ w zbiorach Ossolineum. Przy energicznej pomocy ze strony d-ra L. Bernackiego, wicekustosza biblioteki, wystawa doszła do skutku, a przez cały czas uroczystości jubileuszowych we Lwowie stanowiła jedną z największych atrakcji.

W wielkiej sali z górnym oświetleniem, w której mieści się galeria obrazów, ustawiono wśród zieleni przepyszny biust poety, pomysłu Wacława Szymanowskiego. Na małym stolczku, przykrytym wschodnią makatą, stał sekretarzyk poety, pochodzący z daru p. Tadeusza Bohdana z Zarzecza. Sekretarzyk ten był nieodstępnym towarzyszem Słowackiego w licznych jego podróżach. Wspomina raz nawet o nim poeta w liście swym do matki i dodaje, że list ten pisał na pokładzie okrętu, trzymając swą „szkatułkę“ (to jest to biurczko) na kolanach.

W czterech wielkich oszklonych gablotach wystawiono przedewszystkiem pierwsze wydania poezyi, które ukazały się jeszcze za życia Słowackiego, między nimi do rzadkości bibliograficznych należące: „Oda do wolności“ i „Hymn“ (Warszawa, 1830), oraz „Kulik Polaków“, wydany w roku 1831, także w Warszawie. A dalej, rzeczy najcenniejsze i dla każdego najdroższe, autografy Słowackiego, skarbica prawdziwa, niewyczerpana, która zawsze służyć będzie za temat najrozmaitszych studyów nad przedziwną twórczością genialnego poety. W innych gablotach zestawiono wydania dzieł pośmiertne, szereg najważniejszych studyów (monografie Małeckiego, Hoësicka i Tretiaka) oraz wszystkie publikacje jubileuszowe, wśród których formą zewnętrzną najpiękniejszą księga zbiorowa prac słuchaczy wszechznicy lwowskiej (uczniów prof. Kallenba-

cha), p. t. „Cieniom Juliusza Słowackiego, Rycerza napowietrznej walki, która o narodowość naszą się toczy...“, w pergaminowej okładce, z ornamentami Stanisława Dębickiego.

Na osobnych ściankach, gustownie udekorowanych, zawieszono portrety matki poety, Salomei, i ojca, Euzebiusza, wizerunek prof. Jana Rustema, przyjaciela rodziców Słowackiego, a nadto portret Słowackiego w wieku dziecięcym, jako amorka (malowany przez Rustema), i portret młodzieńcy poety, malowany w Dreźnie przez Tytusa Byczkowskiego, bardzo cenny, bo z natury robiony. W liczbie portretów był nadto doskonały, autentyczny wizerunek Makryny Mieczysławskiej; szereg innych portretów, jak portrety sióstr przyrodnich Słowackiego, wujostwa Januszewskich, dziadka i babki Januszewskich, jest na wystawie Słowackiego w Krakowie, dokąd Muzeum je wypożyczyło.

Z innych wystawionych przedmiotów zasługuje na uwagę miniatura matki poety, miniatura, która tak bardzo nie podobała się Słowackiemu, że miniaturzystę nazwał „szczurem, gryzącym obrazy“ (w liście do Stattlera), dwa rysunki poety: góra Bony w Krzemieńcu i projekt grobowca dla Januszewskich, a wreszcie śliczny medalion, roboty Władysława Oleszczyńskiego, i medal pamiątkowy, pomysłu J. Raszki, wybity w roku jubileuszowym.

SZREN.

## Z ruchu artystycznego w Krakowie.

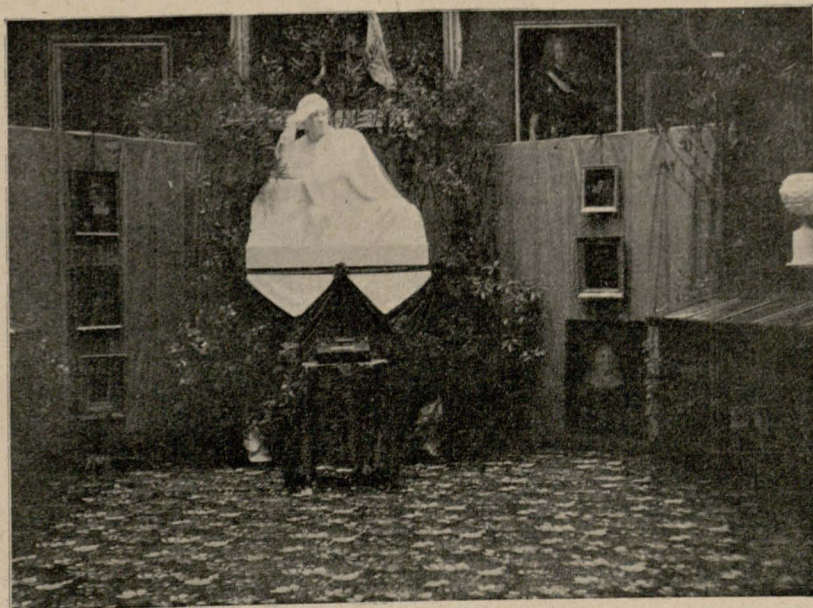
Projekt uczczenia pięćdziesięciu rocznicy bitwy pod Grunwaldem przez urządzenie w Krakowie wielkiej wszechsłowiańskiej wystawy obra-

zów był przedmiotem rokowań wspólnej konferencji malarzy słowiańskich w Przerowie. Ze strony polskiej wzięli udział w konferencji pp. Kossak, Tetmajer, Wodzinowski, Żelechowski i Kowalski. Ostatecznie rokowania rozbiły się. Południowi Słowianie sprzeciwili się nazywaniu projektowanej wystawy „grunwaldzką“, nie chcąc nadawać jej charakteru politycznego, a nadto zażądali, aby do udziału w wystawie dopuścić wszystkie bez wyjątku narodowości słowiańskie, co po długiej i bezowocnej dyskusji okazało się również niemożliwym. Stało na tem, że delegaci serbscy, bułgarscy i słoweńscy wycofali się ze sprawy pod pozorem, że do załatwienia jej, zgodnie z życzeniem Polaków i Czechów, nie mają mandatu. Czesi zaś i Morawianie postanowili wraz z Polakami wystawę taką w Krakowie w roku przyszłym urządzić. Drugą przyczyną ruchu w krakowskim świecie artystycznym, również z rocznicą grunwaldzką bezpośrednio się wiążącą, jest projekt bawiącego obecnie w Krakowie p. Styki, aby w znanym Rondlu floryańskim, czyli Barbakanie urządzić panoramę bitwy pod Grunwaldem na wzór znanej panoramy Raclawickiej. Wedle zapewnień artysty, Rondel nadaje się w zupełności do tego celu. Plan swój opracował już p. Styka bardzo szczegółowo, zarówno pod względem artystycznym, jak i finansowym. W pracowni swej pod Paryżem posiada artysta gotowe już szkice całej panoramy. Projekt Styki budzi naturalnie żywe zajęcie i jeszcze żywsze dyskusje w kołach malarzarskich przedewszystkiem. Co się z niego w tym alembiku wydestyluje, okaże niedaleka przyszłość.

K.

## Konkurs na plakat i etykietę.

Firma Kalinowski i Przepiórkowski, posiadająca fabrykę wyrobów tytoniowych pod nazwą „Noblesse“, ogłasza 2 konkursy: na plakat reklamowy i na skomponowanie strony tytułowej na pudełkach z papierosami ze swej fabryki na warunkach następujących. Plakat, mający na celu zręczne reklamowanie wyrobów firmy, ma się nadać do reprodukcji litograficznej w czterech barwach. Nagrody: 1-sza rb. 100 i 2-ga rb. 50, przyczem projekty nagrodzone stają się własnością firmy. Nadto firma zastrzega sobie prawo nabywania prac nie nagrodzonych, a przez sąd konkursowy zaleconych, po rb. 25. Kompozycja strony tytułowej na pudełkach z papierosami może być wykonana w dwóch barwach, przyczem jest pożądaną, ażeby upodobania palaczy bądź ze wsi, bądź z wielkich miast były uwzględniane. Nagrody: 1-sza rb. 35 i 2-ga rb. 25, z zastrzeżeniami, jak wyżej, co do prawa własności nagrodzonych i prawa zakupu po rb. 10 nie nagrodzonych. Sędziami konkursów będą artyści pp.: Piotr Krasnodębski, Eligiusz Niewiadomski i Józef Gałęzowski, a ze strony firmy pani Helena Kalinowska i p. Edward Werner. Prace, oznaczone godłem, wraz z kopertą (oznaczoną temże godłem), zawierającą nazwisko autora, winny być nadsyłane do dnia 5 grudnia r. b. pod adresem: Kalinowski i Przepiórkowski w Warszawie, Hotel Europejski. Za całość prac, nie odebranych w ciągu 2-ch miesięcy od daty konkursu, firma nie odpowiada.



Fragment pamiątek po Słowackim we Lwowie Fot. M. Münz.





Tłumy przed pałacem sprawiedliwości.



Pani Steinheilowa.



Dziewica z Anzio.

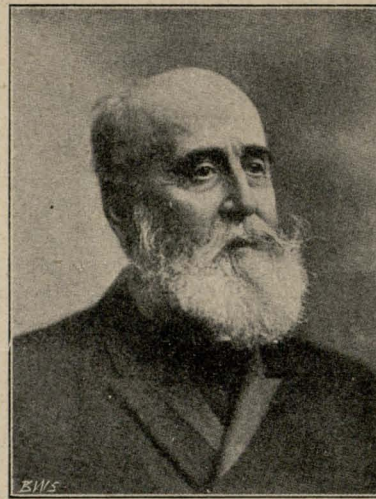
### Sensacyjny proces.

W Paryżu odgrywa się obecnie jeden z najbardziej tajemniczych procesów, jakie zna historia sądowa. Przed przysięgłymi staje osoba młoda z „towarzystwa“, wdowa po malarzu Steinheilu, oskarżona jedynie na podstawie bardzo kompromitujących wprawdzie, ale tylko pozszyk. Prezes sądu, de Valles, zdobył się na krok, na paryskie stunki n'estychnianie śmiały: wzbronil wstępu do sali sądowej kobietom i wogóle ograniczył ogromnie udział słuchaczy w rozprawach. Prócz urzędników sądowych, adwokatów, dziennikarzy do sali dostało się za ledwie kilkadziesiąt osób. To też w przeddzień procesu przed bramą pałacu sprawiedliwości nocowało wielu biedaków w nadziei, że, gdy się raz dostaną, miejsca swoje sprzedadzą nazajutrz na wagę złota.

### Dziewica z Anzio.

Muzeum Termów Dyoklecjana w Rzymie wzbogaciło się przed kilku dniami nowym a pierwszorzędnym nabytkiem: posągim marmurowym greckiego dła, który nazwano „Dziewicą z Anzio“, właściwie bowiem dotąd nie jest ustalone, co mianowicie rzeźbiarz chciał wypowiedzieć w owej postaci. Jest to więc jeszcze zagadka, rzucona na pastwę archeologom. Jedni utrzymują, że dziewczyna przedstawia kapłankę Apollina, inni znów widzą w niej poetkę, lub dziewczę, która, odniósłszy zwycięstwo w wyścigach wozów, idzie złożyć wieniec na ołtarzu bóstwa, wreszcie posąg przedstawiałyby dziewczynę, idącą złożyć ofiarę w świątyni. Niesie ona wieniec wawrzynu i zwój papierowy. Co do tego tylko wszyscy się zgodzili, że wartość artystyczna posągu jest bardzo znaczna, a nawet wyjątkowo znakomita. Rząd włoski zapłacił zań 450,000 lirów, wobec ofert miliona, jakie gotowa była dać Ameryka. Ale we Włoszech istnieje zakaz wywożenia arcydzieł sztuki, a więc księżę Chigi, szczęśliwy właściciel tego arcydzieła, zbył je rządowi. Mamy tu do czynienia niewątpliwie z jednym z najpiękniejszych dzieł sztuki starożytnej, godnym stać obok Wener z Milo. Ricci, dyrektor wydziału sztuki w ministerium oświaty, przypisuje ją szkole Praksytelesa, gdyż łączy z doskonałością kształtów Wener z Milo wdzięk słynnych figurynek z Tanagry. Ręce i koniec nosa są uszkodzone. Z tem wszystkiem, muzeum Termów Dyoklecjana, bardzo już bogate w wspaniałe wykopiska i rzeźby, pozyskało bodaj czy nie prawdziwą perłę zbiorów, jakiejby każde muzeum zagraniczne mogło pozazdrościć. A. D.

### Portrety na dobie.



M. Moret, nowy prezes liberalnego gabinetu hiszpańskiego, utworzonego po upadku Maura, sprowadzającego sprawę Ferrera.

### ZMARLI.

ZYGMUNT MYRTON MICHALSKI, bardzo utalentowany artysta-malarz, zmarł w Paryżu w wieku lat 45. Zmarły pochodził z Wielkopolski i kształcił się w krakowskiej akademii sztuk pięknych, zanim wyjechał na dalsze studia do Paryża,



w roku 1885. Od tego czasu nie opuszczał już stolicy Francji. Przechodził tu z początku bardzo ciężkie koleje, a potem, dzięki wybitnemu talentowi, niezmiernie pracowitej i stosunkom, zdobył sobie stanowisko pierwszorzędnego, jako malarz portretów. Przez pracownię jego przesuwali się rzesze przedstawicieli i przedstawicieli arystokracji, przeważnie francuskiej. Z licznych portretów Michalskiego na wyróżnienie zasługują portrety Chincholle'a, markizy de Mores, Loze'go, Hellerówny, Jana Kozieli Poklewskiego, Adama hr. Zamoyckiego i inne. Zmarł w sile wieku, skutkiem nieuleczalnej choroby oczu, na którą zapadł przed trzema laty.

ZYGMUNT HR. RZYSZCZEWSKI zmarł w Warszawie w wieku lat 65. Dziecinne i młodzieńcze lata spędził w Paryżu, gdzie uczęszczał do



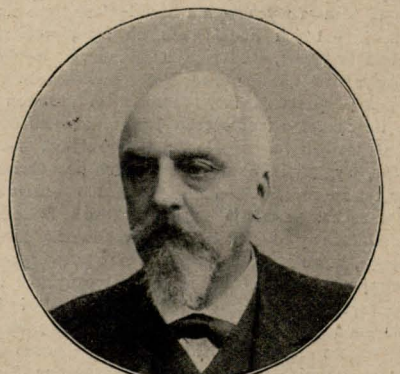
liceum Charlemagne, poczem kształcił się w akademii wojskowej w Turynie. W r. 1862 wstąpił do armii włoskiej, walczył pod Custozzą, poczem wziął dymisy i wstąpił do politechniki w Medyolanie, którą ukończył ze stopniem inżyniera przemysłowego. W r. 1875-ym powrócił do kraju, a wszedłszy przez małżeństwo z p. Epsteinówną w koła finansowe warszawskie, poświęcił się od-tąd sprawom przemysłowym i bankowym, a w pracy tej wielkie wykazał zdolności. Był więc przez czas jakiś dyrektorem „Zawiercia“, członkiem Banku dyskontowego i t. d.

GUSTAW PAPROCKI, współwłaściciel i kierownik drukarni *Gazety Handlowej*, zmarł w Warszawie w wieku lat 66. Jako dziewiętnastoletni młodzieniec, został aresztowany za udział w ruchu narodowym, poprzedzającym powstanie. Skazany na ciężkie roboty, a następnie na osiedlenie, przebył na Syberii lat osiemnaście, razem z zaciętym kuzynem swoim, niedawno zmarłym Henry-



kiem Wohlem, oraz z Władysławem Bogustawskim, z którym łączyły go węzły serdecznej przyjaźni. Po powrocie do kraju pracował czas jakiś na polu dziennikarskim, a następnie prowadził drukarnię. Zgon zaciętego człowieka wywołuje szczerze żal wśród licznych koła jego przyjaciół i życzliwych.

ZYGMUNT TWAROWSKI, starszy budowniczy miasta Warszawy, zmarł w wieku 64. Po ukończeniu b. gimnazjum realnego w Warszawie wstąpił do Szkoły Głównej, poczem udał się do Pe-



tersburga, gdzie ukończył Instytut inżynierów cywilnych. Po powrocie do Warszawy oddał się pracy zawodowej na polu budownictwa i był twórcą wielu budowli, które zdobią dziś Warszawę.

### Z PRASY.

Po długiej przerwie ukazał się nowy zeszyt dwutygodnika *Wolne słowo*, pod redakcją utalentowanego publicysty i poety, p. Leo Belmonta, który przed rokiem został wydalony z granic Królestwa, teraz zaś otrzymał prawo powrotu i wznowił swe ciekawe ze wstecz miar, tryskające życiem, werwą i dowcipem wydawnictwo. Szczerze życzymy p. Belmontowi powodzenia i omijania szczęśliwego skał, o jakie rozbil się już pierwszy numer *Wolnego słowa*, który uległ konfiskacie.



**KSIĘGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO**  
LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36,  
pieszła na własność  
**GEBETHNERA i WOLFFA.**

Najlepsze **Kakao, Czekolada, Cukry deserowe**  
**J. FRUZIŃSKI.**

WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR” poleca:  
Sole do kąpiei NAUHEIMSKICH z kwasem węglow.  
Sole do kąpiei BALSAMICZNYCH z kwasem węglow.  
Sole do kąpiei JODOWO-BROMOWYCH z kw. węgl.  
Sole do kąpiei SIARCZANYCH z kwasem węglowym.  
Sole do kąpiei ŻELAZISTYCH z kwasem węglowym.

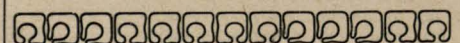
**LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.**  
**NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.**

„ŚMIECH” Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44,  
w Warszawie kwartalnie rub. 1,  
z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

Przechowanie Mebli  
**„SYRENA”**  
„Krak. Przedm. 38. Telef. 11 - 22

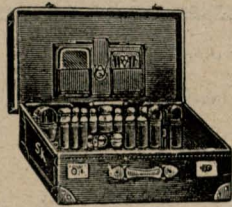
PIWO **DROZDOWSKIE** marcowe, kuracyjne  
sprzedaż wszędzie.

PENSION DE FAMILLE, WIDOK 11, Tel. 155-60  
**Ewa Kotarbińska.**





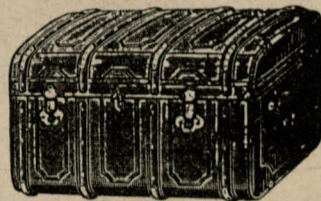
N A D E S Ł A N E .



# STANISŁAW KRAUSE i S<sup>KA</sup>

FABRYKA I MAGAZYN  
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY

Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)  
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.

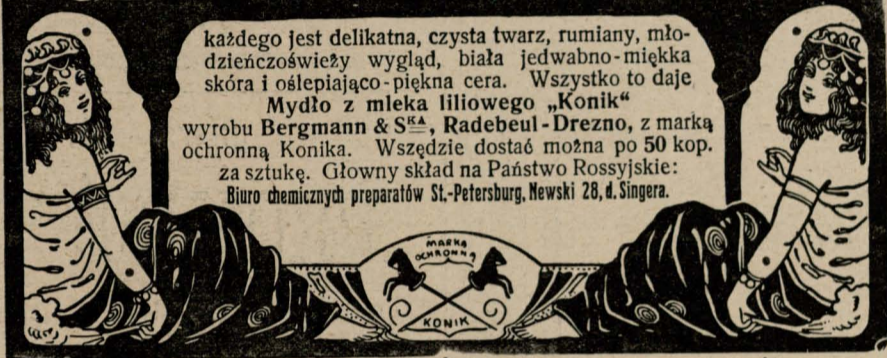


# MEBLE

ZAŁĘSKI i S<sup>ka</sup>

Warszawa, Erywańska Nr 2,  
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.

## SERDECZNÉM ŻYCZENIEM



każdego jest delikatna, czysta twarz, rumiany, młodzieńczościwy wygląd, biała jedwabno-miękka skóra i oślepiająco-piękna cera. Wszystko to daje Mydło z mleka liliowego „Konik“ wyrobu Bergmann & S<sup>ca</sup>, Radebeul - Drezno, z marką ochronną Konika. Wszędzie dostać można po 50 kop. za sztukę. Główny skład na Państwo Rosyjskie: Biuro chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, d. Singera.

Żądać tylko w czerwonym opakowaniu.

## KALODONT

Niezbędny krem do zębów  
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.

Żądać wszędzie

## BOROL

na porę zimową uznano za najlepszy ze środków, chroniących skórę rąk i twarzy od opierzchania.

PASTILLES

DE

TAMAR  
INDIEN  
GRILLON

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający  
PRZECIWO  
OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem

## SRODKI do ZĘBÓW

ELIKSIR, PROSZEK i PASTA  
Ojców

BENEDYKTYNÓW

Opactwa SOULAC

WAŻNA UWAGA :

Flakony eliksiru Benedyktynów nie opatrzone plombą komory celnej rosyjskiej powinny być uważane za podrobione.



MODEL FLAKONU

## G. G. LARDELLI

CUKIERNIE  
i  
Fabryka Czekolady

Boduena 5, Nowy-Świat 27, Marszałkowska 68.

KSIĘGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36  
przeszła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.



## WYPRAWY

WŁASNE PRACOWNIE  
SUKIEN, KOSTJUMÓW I BLUZEK  
BIELIZNY DAMSKIEJ I MĘSKIEJ  
KOŁDER NA WACIE

BRACIA JABŁKOWSCY

WARSZAWA, BRACKA 23

WYSYŁKA PRÓB, KATALOGÓW I KOSZTORYSÓW BEZPŁATNA

## P. Edward Reszke

profesor śpiewu, rozpoczyna lekcje z d. 15 listopada r. b. Zgłoszenia przyjmuje biuro Hotelu Saskiego, ul. Krak.-Przedmieście 35.

OD ADMINISTRACYI.

Pochlebnie wyróżnioną przez ogół krytyki heliografiurę z obrazu Krzesza: „Ostatnie akordy Chopin'a (40 x 30 centym.) wysyłamy prenumeratom Tygodnika Ilustrowanego w cenie po rubli 5, do dnia 1-go stycznia r. p. Cena następnie będzie podwyższona.

MAGAZYN KRAWIECKI  
SZWALBE SACHS  
ANGIELSKIE, PALTA I GARNITURY  
GOTOWE I NA OBSTALUNEN  
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY

D-ra ROBERTA BERNHARDTA

ordynatora szpitala św. Łazarza.  
WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.  
Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentgena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Arsonizacja. Choroby weneryczne.

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele WINCENEGO LUTOSŁAWSKIEGO p. t. „ROZWÓJ POTĘGI WOLI“, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.



Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.



# S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowido i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

## ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

*Ewie.* Na kruche paznokcie radykalnym środkiem jest *Onglophile Ponsarda*. Zwilżyć z wierzchu i pod spodem. Jeżeli brwi już niema wcale, nic im nie pomoże, jeżeli są rzadkie, wzmocnić można żółtą pomadą, zwaną *Tortulea*, tej samej firmy. Smarować lekko z włosem na noc codzień, aż do zużycia całego słoika. Do mycia twarzy tylko mydło *Neutralne*, to jest pozabawione zupełnie części sodowych. Na gładkość rączek—*Pâte des Prélats Ponsarda*.

*I. S. w Lozannie.* Na ręce tak wrażliwe na zimno, sine, czerwone i t. p. jest skutecznym środkiem *Gelurine* płyn i krem, ponieważ jednak sposób użycia jest dość skomplikowany, nie możemy go tu zamieszczać dla braku miejsca. Niech się Pani uda listownie do perfumeryi *Paszkowskiego*, Marszałkowska 109, lub do *Perfection*, Szpitalna 10, tam zwykle posiadają i wysyłają pocztą wszystkie środki, tutaj zalecane, i nadesłają Pani żądane informacje po otrzymaniu dokładnego adresu.

*P. Celinie Br.* Włosy myć mydłem *Alkalicznem*. Wzmocni cebulki włosowe i usunie łupież *Tetral*, zamiast Goldkremów lepiej używać *kremu Psyché*, również środek niedrogi. Rozdwajające się włosy przypalać na końcach nad świecą, smarować olejkim *Hel*. Paryska fabryka gorsetów firmy *Dutoict*, mająca filię w Warszawie przy ulicy Wierzbowej Nr 8, wyśle Pani pocztą gorset żądany, należy tylko w liście załączyć w centymetrach miarę w tali, w gorsie, w biodrach i długość brykli na froncie. Wspaniałe w formie mają tam gorsety, zwane *Directoire*.

*Pani E. M.* *Emulsia radium* konserwuje cerę, odmładza i rozprawdza zmarszczki. *Krem radium* do rąk i twarzy matuje, nadaje białość. Szczegóły i objaśnienia w przepisach. Fabrykacja. Paryż, 14 Cité de Trévis L. Colsé Co. Skład na Królestwo, Warszawa, Niecała 5. Tel. 33-74. Kli-mecki Co. Na prowincję odwrotną pocztą wysła się za zaliczeniem.

*Karolinie.* Na wągry *Pureol*, wana parowa do twarzy, zmarszczki wygładzi *Abarid*. Na odstające uszy są maszynki nieznaczące, zakładane na noc, które doprowadzą po pewnym czasie do normy.

*Do Wszystkich.* Dla ułatwienia prosimy listy z zapytaniami znaczyć na kopercie dla P. Ercédès. Cen podawać nie możemy, perfumerye właściwe objaśnią listownie.

Mme Ercédès.



## Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłódna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26  
Telefonu 167.49.

## Składy Sukna i Kortów LEONA MESSINGA

w Warszawie, Miodowa 7, Marszałkowska 140,  
polecają modne materiały krajowe i angielskie w wybor. gatunkach. Najdogodniejsze źródło zakupu.

## Nagrodzone!

Na Wystawie Częstochowskiej w 1909 r.

Wielkim Medalem Srebrnym

Nr Wystawie Przemysłowo-Spożywczej w Warszawie w 1909 r.

Wielkim Medalem Złotym

Na Wystawach Kucharskich w Warszawie i Łodzi

2 Wielkimi medalami srebrnymi

Na Wystawie Hygienicznej w Warszawie

WYRÓŻNIONE ZASZCZYTNEM ODZNACZENIEM

## Podręczniki Gospodarskie Marty Norkowskiej GOSPODARSTWO DOMOWE

na podstawie wykładów wygłoszonych na Wystawie Przemysłowo-Spożywczej w Warszawie, w marcu 1909 r. Cena 75 kop., w opr. karton. kop. 90, z przes. poczt. rb. 1.05, za zalicz. rb. 1.15.

## Najnowsza Kuchnia

— WYTWORNA I GOSPODARSKA —

Zawiera 1249 przepisów gospodarskich z uwzględnieniem kuchni jarskiej, z ilustracjami, wzory nakrycia stołu, sposób ogólny podawania przekąsek i potraw, 70 wzorów „Menu” skromnych i wystawnych śniadań, obiadów i kolacji na każdą porę roku itd. Wydanie nowe powiększone. Cena rb. 1.80, opraw. w kart. rb. 2, z przes. poczt. rb. 2.30, za zaliczeniem rb. 2.40.

## Piekarnia i Cukiernia

wytworna i gospodarska z ilustracjami.

Cena rb. 1, w opr. kart. rb. 1.20,

z przes. poczt. rb. 1.40, za zaliczeniem rb. 1.50.

Wydawnictwo GEBETHNERA I WOLFFA w Warszawie

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

GEBETHNER  
i WOLFF  
PIANINA I FORTEPIANY  
W WARSZAWIE  
KRAK.-PRZEDM. 17



LUDWIK SZUFA  
KRAWIEC  
KRAKOW TELEFON 671

KSIEGARNIA  
GEBETHNERA i WOLFFA  
w Warszawie

poleca:

## WYBÓR POEZYI

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe, zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Agentura nasza w Łodzi

## „PROMIEN”

ulica Piotrkowska № 81

Telefon 1200

Przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia na rok 1909.

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa  
w Warszawie:

Modest Maryański

Przewodnik polsko-angielski.

Słownik polsko-angielski

dla wychodźców polskich i przybyszów do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanady, ułatwić mający stawianie kroków pierwszych w kraju obcym i naukę języka angielskiego z podaniem wymowy i brzmienia każdego wyrazu angielskiego według metody fonetycznej, z dołączeniem niektórych uwag, rad i wskazówek. Wydanie 2. W oprawie rb. 1.20.  
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Magazyn Sukien i Okryć Damskich  
Władysławy Kwiatkowskiej

Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paški, Zaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

PATENTY  
NA  
WYNALEZKI  
„Włodarkiewicz  
i Sieklucki”  
Włodzimierska 16,  
Egz. od 1886 r  
Wł. inż. W. Jakubowski.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIESCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.